



opowiadania fantastyczne

BARDZO DZIWNY ŚWIAT



**BARDZO
DZIWNY
ŚWIAT**

OPOWIADANIA FANTASTYCZNE

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA I WIEDZA” WARSZAWA 1975

SPIS RZECZY

Mąż opatrnościowy (<i>Fredric Brown</i>)	02
Bardzo dziwny świat (<i>Ariadna Gromowa</i>)	07
Podkomitet (<i>Zenna Henderson</i>)	18
Siedem dni strachu (<i>R. A. Lafferty</i>)	31
Okno w przeszłość (<i>Lew Mogilew</i>)	36

FREDRIC BROWN
MAŻ OPATRZNOŚCIOWY

Był sobie raz niejaki Hanley, Al Hanley, i na pewno nigdy nie przyszłoby wam do głowy, że może to być jakaś ważna figura. I gdybyście nawet znali całą historię jego życia, aż do dnia wizyty Darian, to i tak nigdy nie domyślilibyście się, jak bardzo będziecie mu kiedyś wdzięczni. A za co, przekonacie się po przeczytaniu tej opowieści.

Wówczas kiedy się to zdarzyło, Hanley był pijany. Nie był to bynajmniej przypadek — był pijany już od dawna i jego ambicją było utrzymać się w tym stanie jak najdłużej. Niestety, stawało się to ostatnio zadaniem coraz trudniejszym: najpierw skończyły się pieniądze, a wkrótce również i przyjaciele, których mógłby naciągać na pożyczki. Jego znajomości były coraz podrzędniejsze i doszedł do tego, że uważał się za szczęśliwca, jeśli udało mu się ustrzelić kogoś na dwa dolary.

W końcu stoczył się tak nisko, że musiał wałęsać się godzinami, aby spotkać jakiegoś znajomka, którego mógłby naciągnąć na dolara czy 25 centów. Długa wędrówka niszczyła efekt ostatniego kieliszka — no, może niezupełnie, ale w znacznym stopniu — tak, że znajdował się w sytuacji Alicji z Krainy Czarów, która musiała biec z całej siły, żeby pozostawać w tym samym miejscu.

Zaczeptanie nieznanym odpadło, gdyż policjanci mieli na to oko, i gdyby tylko spróbował, skończyłoby się na nocy spędzonej o suchym gardle w komisariacie, co mu się wcale nie uśmiechało.

Był teraz w takim stanie, że dwanaście godzin bez alkoholu przyprawiało go o piekielne męki, w porównaniu z którymi delirium tremens było dziecinną igraszką.

D.T. to ostatecznie tylko halucynacje. Jeśli jesteś sprytny, to wiesz, że to tylko przywidzenia. Czasem mogą one nawet spełniać rolę towarzystwa, jeśli komuś na tym zależy. Ale piekielne męki to zupełnie inna sprawa. Trzeba wypić więcej alkoholu, niż wam się wydaje, żeby dojść do tego stadium. Najgorzej, gdy człowiek, który już zapomniał, kiedy był trzeźwy, zostaje nagle całkowicie pozbawiony alkoholu na dłuższy okres. Na przykład w areszcie.

Sama myśl o tych mękach przyprawia Hanleya o drżenie, które zresztą wkrótce przeszło na widok jego starego przyjaciela, serdecznego druha, którego co prawda widział najwyżej kilka razy w życiu, i to w niezbyt miłych okolicznościach. Stary przyjaciel nazwiskiem Kid Eggleston był emerytowanym bokserem i ostatnio pracował

jako wykidają w barze, przez co siłą rzeczy zetknął się z Hanleyem.

Nie starajcie się jednak zapamiętać jego nazwiska ani jego historii, ponieważ i tak nie odgrywa on większej roli w tej opowieści. Prawdę mówiąc dokładnie za półtorej minuty wyda okrzyk przerażenia, a później zemdleje i nie będziemy już więcej o nim słyszeć.

Mimochodem warto jednak zauważyć, że gdyby Kid Eggleston nie krzyknął i nie ze-mdlał, wasz tryb życia mógłby ulec pewnej zmianie. Moglibyście na przykład pocić się w ko-palni odkrywkowej glutytu, pod palącymi promieniami zielonego słońca gdzieś na krańcach naszej Galaktyki. Na pewno by wam to nie przypadło do gustu — więc pamiętajcie, że to Hanley uratował was (i wciąż jeszcze ratuje) przed tą ewentualnością. Nie sądźcie go zbyt surowo. Gdyby Trójka i Dziewiątka zabrali Kida, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Trójka i Dziewiątka byli przybyszami z planety Dar, która jest jedną z dwu planet wyżej wspomnianego zielonego słońca na krańcu Galaktyki. Trójka i Dziewiątka to nie były oczywiście ich pełne nazwiska. Darianie zamiast nazwisk używają numerów i pełne nazwisko Trójki brzmiało 389,057,792,869,223, a w każdym razie tak by wyglądało w transkrypcji na system dziesiętny.

Mam nadzieję, że wybaczycie mi, iż będę w dalszym ciągu nazywał przybyszów w skrócie Trójką i Dziewiątką i że oni również będą się tak do siebie zwracali. Oni by mi tego nie wybaczyli. Darianie zawsze zwracają się do siebie pełną liczbą i każdy skrót jest uważany za obrazę. Jednak Darianie żyją znacznie dłużej niż my i w przeciwieństwie do mnie mają na to czas.

W chwili gdy Hanley dopadł Kida, Trójka i Dziewiątka byli jeszcze w odległości około mili ponad nimi. Nie znajdowali się bynajmniej w samolocie ani nawet na statku kosmicznym (ani tym bardziej w latającym talerzu. Jasne, że wiem, co to jest latający talerz, ale spytajcie mnie o to innym razem. Teraz chcę trzymać się Darian). Byli po prostu w sześcianie czaso-przestrzennym.

Zdaje się, że będę musiał to wyjaśnić. Darianie odkryli — do czego i my któregoś dnia zapewne dojdziemy — że Einstein miał rację. Materia nie może poruszać się z prędkością większą od prędkości światła nie przekształcając się w energię. Zapewne nie zależy wam na tym, żeby przekształcić się w energię, prawda? Darianom również nie zależało, kiedy rozpo-czynali wyprawy w głąb Galaktyki. Odkryli oni, że można podróżować z prędkością większą od prędkości światła, jeśli poruszać się jednocześnie w czasie i przestrzeni, czyli w czasoprze-strzeni. Odległość, jaką musieli przebyć z Daru do Ziemi, wynosiła 163 tysiące lat świetlnych.

Ale ponieważ jednocześnie odbyli podróż w czasie na 1630 stuleci wstecz, więc czas ich podróży wyniósł 0 godzin 0 minut. W drodze powrotnej zrobili to samo i wrócili (w momencie swojego startu) do punktu wyjściowego w czasoprzestrzeni. Myślę, że to jest zrozumiałe.

W każdym razie ich niewidzialny dla ziemskich oczu sześcian znajdował się na wysokości mili nad Filadelfią i błagam, nie pytajcie mnie, dlaczego oni wybrali akurat Filadelfię — nie rozumiem, jak w ogóle można wybrać Filadelfię do jakiegokolwiek celu. Wisieli tam nieruchomo przez cztery dni. W tym czasie Trójka i Dziewiątka słuchali audycji radiowych i nauczyli się posługiwać miejscowym językiem.

Nie, oczywiście nie dowiedzieli się niczego istotnego o naszej cywilizacji ani o naszych obyczajach. Wyobraźcie sobie, że macie wyrobić sobie pogląd na życie mieszkańców Ziemi, słuchając mieszkanki złożonej z radioreklamy, westernu i quizu.

Zresztą nie interesowało ich specjalnie, jaka jest ta nasza cywilizacja, byle tylko nie była na tyle rozwinięta, aby im zagrozić — pod tym względem uspokoili się zupełnie w

ciągu swojej czterodniowej obserwacji. Nie można mieć do nich o to pretensji — zresztą mieli rację.

— Schodzimy? — spytał Trójka Dziewiątki.

— Tak — odpowiedział Dziewiątka. Trójka zwinął się wokół tablicy kontrolnej.

— jasne. Widziałem, jak walczyłeś — mówił Hanley. — Byłeś naprawdę dobry, Kid. Miałeś dryg do walki. Może byśmy wypili po jednym tu na rogu?

— A kto stawia?

— Właśnie dzisiaj jestem bez grosza. Ale potrzebny mi jest kieliszek. Za dawne czasy, Kid...

— Potrzebny ci jest kieliszek jak mnie dziura w głowie. Jesteś pijany i lepiej, żebyś wytrzeźwiał, zanim cię złapie delirium tremens.

— Już mnie złapało. I nic sobie z tego nie robię. Spójrz, są za twoimi plecami.

Wbrew logice Kid Eggleston obejrzał się. Wtedy właśnie krzyknął i zemdłał. Trójka i Dziewiątka zbliżali się. Za nimi widoczny był mglisty zarys wielkiego sześcianu. Ta jego dziwna, nierealna obecność mogła trochę przstraszyć. Pewnie dlatego Kid zemdłał.

Bo Trójka i Dziewiątka nie mieli w sobie nic przerażającego. Przypominali dżdżownice długości około 15 stóp (w stanie rozciągniętym) i o średnicy około stopy w środku. Byli przy-jemnego jasnoniebieskiego koloru i nie mieli żadnych widocznych organów zmysłu, tak że nie można było odgadnąć, który koniec jest który — co zresztą nie miało większego znaczenia, bo oba końce były i tak identyczne.

I chociaż teraz zbliżali się do Hanleya i nieprzytomnego Kida, nie można było powie-dzieć, gdzie jest przód, a gdzie tył, gdyż poruszali się w normalnej, to jest zwiniętej pozycji.

— Cześć, chłopcy — powiedział Hanley. — Przstraszyliście mojego przyjaciela, niech was cholera. A on miał mi postawić wódkę. Z tego wynika, że jesteście mi winni kolejkę.

— Reakcja nielogiczna — powiedział Trójka do Dziewiątki. — Podobnie zresztą jak u tamtego osobnika. Weźmiemy obu?

— Nie. Tamten drugi, chociaż większy, musi być słabowity. Zresztą jeden okaz wystar-czy. Chodźmy.

Hanley cofnął się o krok.

— Jeśli mi postawicie, to w porządku. W przeciwnym razie chcę wiedzieć dokąd.

— Na Dar.

— Znaczą się, mamy zaszuwać na Dar? Słuchaj, mistrzu, nie ruszę się na krok, dopóki mi nie postawicie kielicha.

— Rozumiesz, o co mu chodzi? — spytał Dziewiątka. Trójka przecząco pokręcił jednym końcem. — Bierzemy go siłą?

— Na razie nie ma potrzeby, może zgodzi się pójść dobrowolnie. Czy zgodzisz się wejść do sześcianu dobrowolnie, istoto?

— A macie tam alkohol?

— Tak. Wejdz, proszę.

Hanley zbliżył się do sześcianu i wszedł do środka. Nie dlatego, żeby wierzył, że on tam stoi naprawdę, ale co miał do stracenia? Zresztą kiedy się ma D.T., najgorzej się sprzeciwiać. Sześcian był zbudowany z materii stałej i od wewnątrz wcale nie był przezroczysty. Trójka owinął się wokół tablicy, kontrolnej i przy pomocy obu swoich końców zręcznie manipulował delikatnymi mechanizmami.

— Znajdujemy się w międzyprzestrzeni — powiedział do Dziewiątki. — Proponuję, abyśmy zatrzymali się tutaj do czasu, aż przeprowadzimy studia nad tym okazem i ustalimy, czy nadaje się do naszych celów.

— Hej, chłopcy, a co z tą wódką? — zaniepokoił się Hanley. Ręce zaczęły mu się już trząść, a wzdłuż kręgosłupa od wewnątrz czuł biegające tam i z powrotem mrówki.

— Zdaje się, że on cierpi — powiedział Dziewiątka. — Zapewne z głodu albo pragnienia. Co te stworzy piją? Może wodę utlenioną, tak jak my?

— Większa część ich planety jest pokryta wodnym roztworem chlorku sodu. Może mu przyrządzimy trochę?

Hanley ryknął:

— Nie, nie chcę wody, nawet bez soli! Ja chcę pić! Wody!

— Chyba przeprowadzę analizę jego systemu trawiennego — powiedział Trójka. — Przy pomocy introfluoroskopu zrobię to błyskawicznie.

Trójka odwinął się od tablicy kontrolnej i zbliżył się do jakiegoś dziwnego przyrządu. Po chwili zamigotały jakieś światełka i Trójka powiedział:

— Dziwne. Jego przemiana materii oparta jest na C_2H_5OH ?

— C_2H_5OH ?

— Tak, alkohol, w każdym razie jako składnik podstawowy. Jest jeszcze nieco wody, ale bez chlorku sodu, i nieznaczne ilości innych składników. Nie ma śladów żadnego innego pokarmu. Zawartość alkoholu we krwi i w mózgu wynosi 0,234 procenta. Cały jego metabolizm opiera się na tym.

— Chłopcy — błagał Hanley. — Ja muszę sobie gołnąć. Może byście tak przestali gadać głupstwa i dali mi coś do wypicia?

— Zaczekaj chwilę — powiedział Dziewiątka — zaraz przyrządzę to, czego się doma-gasz. Sprawdzę tylko skale na introfluoroskopie i dodam wskazania psychometru. — Znowu błyskały światełka i Dziewiątka udał się w jeden z kątów sześcianu, gdzie widocznie było laboratorium. Majstrował tam przez niecałą minutę i przyniósł naczynie zawierające około pół litra klarownego bursztynowego płynu.

Hanley powąchał, potem spróbował i westchnął.

— Dobiliście mnie — powiedział. To jest *aqua vitae*, boski nektar. Takiego napoju nie ma na świecie. — Pociągnął wielki łyk i nawet nie poczuł parzenia w gardle.

— Coś ty mu przyrządził? — spytał Trójka.

— Dość skomplikowany zestaw, dostosowany dokładnie do jego potrzeb. Pięćdziesiąt procent alkoholu, czterdzieści pięć procent wody. Pozostałe pięć procent składa się z dużej ilości składników; wchodzi tu wszystkie niezbędne witaminy i sole mineralne we właściwych proporcjach oraz drobne ilości substancji smakowych. Oczywiście według jego gustu. Dla nas byłoby to coś okropnego, nawet gdybyśmy mogli pić alkohol albo wodę.

Hanley westchnął i znowu pociągnął potężnie. Zaczynał się lekko zataczać. Spojrzał na Trójkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— I tak wiem, że nie istnieje, że ciebie tam wcale nie ma — powiedział.

— O co mu chodzi? — spytał Dziewiątka Trójki.

— Wygląda na to, że jego procesy myślowe są całkowicie alogiczne. Obawiam się, że ten gatunek istot nie nada się na niewolników, ale oczywiście musimy się co do tego upewnić. Jak się nazywasz, istoto?

— Po co ci nazwisko? — powiedział Hanley. — Możesz mnie nazywać, jak ci się żywnie podoba. Jesteście przecież moimi najlepszymi kumplami. Pojadę z wami, gdzie chcecie, dajcie mi tylko znać, jak; już dojedziemy.

Pociągnął spory łyk i zwałił się na podłogę. Zaczął wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki, ale ani Trójka, ani Dziewiątka nie potrafili rozróżnić słów. Brzmiało to jak „Zzzzz-glup, zzzzz-glup”. Próbowali go obudzić, ale im się to nie udawało, więc obserwowali go tylko i przeprowadzali niektóre próby. Obudził się dopiero po kilku

godzinach. Usiadł i wpatrywał się w nich z przerażeniem.

— To nieprawda — powiedział. — Was tam nie ma. Na litość boską, szybko dajcie mi pić.

Wręczyli mu naczynie, które Dziewiątka ponownie napełnił tym samym płynem. Hanley pił przymykając oczy z błogości. — Nie budźcie mnie — powiedział.

— Wcale teraz nie śpisz.

— No to nie kładźcie mnie spać. Wiem, co to jest. To ambrozja, napój bogów.

— Kto to są bogowie?

— Bogów nie ma. Ale to jest właśnie to, co oni piją. Na Olimpie.

— Procesy myślowe całkowicie alogiczne — zauważył Trójka.

Hanley uniósł naczynie.

— W ręce waszych miłości perswaduję — powiedział.

— Co to są waszemiłości? — spytał Trójka.

Hanley zastanowił się przez chwilę:

— To są takie zbobierzałe łąfale, które wywożą ludzi na Dar.

— Co wiesz o Darze?

— Jest to coś, czego nie ma. Wasze zdrowie, chłopcy — i pociągnął znowu.

— Za głupi, żeby się nadał do czegoś poza prostą pracą fizyczną — powiedział Trójka. — Ale jeśli jest wystarczająco silny, warto zrobić najazd na tę planetę. Liczy trzy do czterech miliardów mieszkańców. Przydadzą się nam choćby niewykwalifikowani robotnicy — trzy czy cztery miliardy to już jest coś.

— Hura! — krzyknął Hanley.

— Zdaje się, że on słabo kojarzy — powiedział Trójka w zamyśleniu. — Ale może za to jest silny fizycznie. Istoto, jak cię mam nazywać?

— Mówcie do mnie Al, chłopcy. — Hanley próbował się podnieść.

— Czy to jest nazwa twoja, czy całego gatunku? I czy to jest jej pełne brzmienie?

Hanley oparł się o ścianę.

— Gatunku — powiedział po chwili namysłu. — To skrót od Albinosów. — Tak to sobie wymyślił.

— Chcemy sprawdzić twoją wytrzymałość. Biegaj tam i z powrotem po sześcianie, dopóki się nie zmęczysz. Daj, potrzynam ci naczynie z pożywieniem.

Wyjął naczynie z rąk Hanleya, który zaczął mu je z powrotem wyrwać.

— Jeszcze jeden łyk. Tylko mały łyżeczek. Potem będę biegał dla was choćby do białego rana.

— Może mu to jest potrzebne — powiedział Trójka. — Oddaj mu naczynie.

Hanley nie wiedział, kiedy mu się dadzą napić ponownie, pociągnął więc na zapas. Potem pomachał wesoło do czterech Darian, którzy mu się przypatrywali.

— Do zobaczenia na wyścigach, chłopcy — powiedział. — Mam nadzieję, że przyjdziecie wszyscy czterej. Stawiajcie na mnie. Wygram w cuglach. Mogę jeszcze łyżeczek przed startem?

Pociągnął jeszcze łyżeczek, rzeczywiście mały tym razem — niecałą szklanekę.

— Wystarczy — powiedział Trójka. — Teraz biegaj.

Hanley zrobił kilka kroków i upadł na twarz. Przetoczył się na plecy i tak leżał z błogim uśmiechem na twarzy.

— Nieprawdopodobne — powiedział Trójka. — Może on nas chce oszukać. Sprawdź to, Dziewiątka.

Dziewiątka sprawdził.

— Nieprawdopodobne — powiedział. — Po tak niewielkim wysiłku stracił przytomność, i to do tego stopnia, że nie reaguje na ból. On nie udaje. Te istoty są dla naszych

celów zupełnie nieprzydatne. Wyślij raport, że wracamy. Zabierzemy go jako okaz do ogrodu zoologicznego. Warto go tam pokazać. Fizycznie jest to najdziwniejszy okaz ze wszystkich, jakie napotkaliśmy na milionach planet.

Trójka owinął się wokół tablicy kontrolnej i zaczął manipulować mechanizmami przy pomocy obu końców. Minęło 163 tysiące lat świetlnych i 1630 stuleci, redukując się nawza-jem tak całkowicie i dokładnie, jakby nie poruszali się w ogóle ani w czasie, ani w przestrze-ni.

W stolicy planety Dar, która panuje nad tysiącami nadających się do kolonizacji planet i której przedstawiciele zbadali miliony innych, bezużytecznych, jak na przykład Ziemia, planet — Al Hanley zajmuje wielką, szklaną klatkę na honorowym miejscu, jako niezwykle ciekawy okaz.

Pośrodku klatki jest sadzawka, z której często popija. Widziano zresztą również, jak się w niej kąpał. Jest ona napełniona napojem, który tak się ma do najlepszej ziemskiej whisky, jak najlepsza ziemska whisky do bimbru pędzonego w brudnej wannie. Poza tym zawiera ona, bez szkody dla smaku, wszystkie niezbędne witaminy i sole mineralne.

Nie wywołuje też kaca ani żadnych innych przykrych następstw. Picie go sprawia Han-leyowi rozkosz, dającą się porównać chyba tylko z rozkoszami, jakich doznają bywalcy Zoo, którzy przypatrują mu się w niemym zachwycie, a potem czytają objaśnienie na jego klatce:

ALCOHOLICUS ANONYMOUS

Odżywia się wyłącznie C_2H_5OH z dodatkiem witamin i soli mineralnych. Miewa przebłycki inteligencji, ale nie posiada zdolności logicznego myślenia. Mało odporny na wysiłek — pada z wyczerpania już po kilku krokach. Nie przedstawia żadnej wartości handlowej, jest jednak jednym z ciekawych okazów odkrytych w Galaktyce. Zamieszkuje trzecią planetę w systemie słońca Jx 654746-908.

Jest on tak fascynującym okazem, że uczynili go, praktycznie rzecz biorąc, nieśmierte-lnym. I całe szczęście, bo gdyby, nie daj Boże, coś mu się stało, mogliby zechcieć zastąpić go innym okazem Ziemianina i tym razem mogliby trafić na jakiegoś abstynenta, jak ja czy ktoś z was. Strach pomyśleć, co by nam wówczas groziło.

Przełożył *Lech Jęczynek*

ARIADNA GROMOWA BARDZO DZIWNY ŚWIAT

Ogromna biała gwiazda stała w zenicie, promienie jej były nieznośnie jasne i palące. Trzeba było włączyć na pełną moc regulatory światła i temperatury, pobierające mnóstwo energii. Może należało włożyć hermetyczne skafandry, ale przecież wysłane na zwiady roboty wróciły z zupełnie innymi danymi — promienie gwiazdy padały wtedy na tę część planety z ukosa, sponad horyzontu, i wydawało się, że są nieszkodliwie ciepłe...

— Co to za dziwna planeta! — powiedział Młodszy. — Oślepiające światło, upał i ta mordercza, zatruta atmosfera... Czy tu naprawdę mogą żyć jakieś rozumne istoty?

— Są na pewno dostosowane do życia w tych warunkach — spokojnie zaoponował

Starszy. — Ucz się myśleć w skali Kosmosu... — Popatrzył przez gęstą płataninę gałęzi i sztywnych jasnych liści na rozległą równinę zalaną białym światłem, na jarzące się oślepią-jąco jezioro. — Musimy zejść niżej, w cień tego wzgórza. W przeciwnym wypadku regulato-ry zużyją całą energię, jaką dysponujemy, zanim dowiemy się czegokolwiek i cokolwiek zro-zumiemy.

Chwytając się szerokich gałęzi krzewów, wysokich rurkowatych łądyg, traw o długich obwisłych liściach zeszli na dół. Od razu poczuli się lepiej. Od jeziora wionęło rześkim wilgotnym chłodem, głęboki cień wzgórza skrywał ich przed palącymi promieniami.

Z ulgą usiedli w gęstej wysokiej trawie — była twardawa, sprężysta. Rozejrzeli się. Nad nimi nieruchomo zwisały okrągłe mięsiste liście jakiegoś krzewu — czy też może jakiejś gigantycznej trawy? — liście te miały grube zielone łądygi. Były wielkie, pokrywał je gęsty jasny puszek poprzecinany wyrazistą siatką grubych wypukłych żyłek. łądygi także pokry-wał puch. Młodszy dotknął takiego liścia.

— Przypomina mi to roślinność Estry — powiedział. — Ale tam jest przecież zimno, znacznie zimniej niż u nas. A tu, w takim upale, po co im ta osłona?

— Tak, wygląda to dziwnie — odpowiedział Starszy. — Tym bardziej że inne rośliny jej nie mają. Chociaż... ta na przykład ma...

Popatrzyli na niedużą roślinę o jasnych błyszczących liściach — od spodu pokrywał je gęsty białawy puszek.

— Jedne osłaniają się tylko od dołu, inne ze wszystkich stron, a większość nie ma żadnej osłony. Dlaczego? — zastanawiał się Młodszy.

— Daj spokój — poradził mu Starszy. — Widocznie bronią się w jakiś inny sposób. Zresztą nie o to chodzi. Bardziej mnie interesuje, gdzie są gospodarze planety?

— A jeżeli Główny się pomylił i nie ma tu żadnych istot rozumnych? — zapytał mela-ncholiwnie Młodszy.

— A satelity? Przecież są sztuczne — przypomniał mu Starszy. — A i tutaj... Widzisz tę drogę? Jest zbyt prosta i zbyt równa jak na naturalną.

— To prawda — niechętnie przyznał Młodszy. — Ale wiesz, to może być wymarła cywilizacja. Powiedzmy, że nagle zakłócona została równowaga biosfery, zwiększyła się na przykład przejrzystość atmosfery albo zmienił się jej skład i oni nie zdołali się przystosować... Przecież sam widzisz, jakie jaskrawe jest tu światło, jak gęste powietrze...

— Okropnie lubisz fantazjować — skrytykował go Starszy. — Przecież z rakiety widziałeś ogromne skupiska mieszkalne, sztuczne światło...

— Sztuczne światło może się palić także i po zagładzie tych, którzy je stworzyli — upierał się Młodszy. — A takie skupiska domów, jeżeli oczywiście są to domy, mogą być świadectwem katastrofy. Przewidzieli grożące im niebezpieczeństwo i zaczęli się gromadzić w jakichś określonych miejscach... Być może, chcieli zbudować sobie schrony ze sztucznym klimatem, ale już nie zdążyli...

— Może i masz rację — zgodził się bez przekonania Starszy. — W każdym razie to dziwne, że do tej pory żaden się nie pojawił.

— Tak, przecież nie mogli nas nie zauważyć. Jeśli oczywiście żyją.

— Mogli nas nie widzieć — zaprotestował Starszy. — To zależy od tego, jak zbudowa-ny jest ich organ wzroku. Dawniej tego u nas nie rozumiano, w każdym razie, póki nie zaczę-ły się loty kosmiczne. Jesteś młody. Wylądowałem na Ankrze, kiedy cię jeszcze nie było na świecie. Z początku mieszkańcy Ankry nie widzieli nas ani nie słyszeli. A myśmy widzieli ich zupełnie inaczej, niż wyglądali w rzeczywistości, ich głosy ogłuszały nas. Musieliśmy za-stosować transformatory optyczne i akustyczne, dopiero

wtedy uzyskaliśmy szansę nawiązania kontaktu. Mieszkańcy tej planety także widzą swój świat zupełnie inaczej niż my.

— Jest zatem możliwe, że ich po prostu nie widzimy! — zawołał Młodszy z przerażeniem. — A tymczasem oni są tuż obok nas?

— Nie... Nie sądzę. Na Ankrze wiedzieliśmy, bardzo dobrze wiedzieliśmy, że jej rozumni mieszkańcy są w pobliżu, wiedzieliśmy to nawet wtedy, kiedy nie nauczyliśmy się jeszcze widzieć ich naprawdę. Oni także wyczuwali naszą obecność. Dla nich to było pierwsze spotkanie z mieszkańcami innego świata. Dobrze, że mieliśmy już niejaki doświadczenie, inaczej nic by z tego wszystkiego nie wyszło... Jak dotąd nie ma tu nikogo. To znaczy — nie ma tu żadnych istot rozumnych.

— Spójrz! — powiedział nagle Młodszy. — Co to?

W górze, na niebie, płynnie i szybko przesuwając się podłużny skrzydlaty kształt, skrzydła miał nieruchome, wygięte ku tyłowi. Kształt ów jarzył się w białych promieniach nieubłaganego blasku.

— Ptak? Nie, to nie ptak. Skrzydła są nieruchome. A poza tym — ten metaliczny połysk... — głośno myślał Młodszy.

— Oczywiście to nie jest żywe stworzenie, lecz jakaś aparatura latająca. Słyszysz?

Podłużny kształt już znacznie się oddalił, był niemal niedostrzegalny, nikał w jasności dnia i dopiero teraz doganiając go dał się słyszeć głuchy, narastający grzmot — przelewał się przez niebo w ślad za malejącą sylwetką.

— Leci z szybkością naddźwiękową. W tak gęstej atmosferze! — skonstatował Starszy. — A ty wątpisz, czy są tu istoty rozumne?

— Tak... — powiedział cicho Młodszy. — Ale... Ale, wiesz, zaczynam się obawiać spotkania z nimi.

— Dlaczego? — zdziwił się Starszy.

— Przez cały czas mam uczucie, że coś nie jest w porządku. Wydaje mi się, że coś wisi w powietrzu... coś niebezpiecznego. Czuję to przez cały czas.

— Sprawdź — poważnie powiedział Starszy. — Wierzę w te nowe metody, chociaż sam ich nie stosuję, jestem już za stary, żeby przestawiać organizm na inny reżym. Ale wierzę w nie, choćby dlatego, że nasz Główny — wtedy nie był jeszcze Głównym — uratował nam wszystkim życie, kiedy byliśmy na planecie Rinkri. Dzięki tym wszystkim nowym metodom. Szybkościowe strojenie psychologiczne, katalizatory wrażeń... Pamiętam. Zginęlibyśmy, nie zdążywszy nawet zrozumieć, co się z nami dzieje, gdyby nie on. Przedtem sądziłem, że to jedna z tych bzdurnych nowinek, ale teraz ci wierzę.

Młodszy szedł powoli brzegiem jeziora, często przystawał i wpatrywał się w wodę, w zarośla, i w trawę. Starszy wyczuwał napięcie i niepokój swego towarzysza i to go trochę męczyło. Pomyślał, że jest już zbyt stary na loty międzygwiazdne, choć te loty są teraz tak krótkie. Męczy go nawet kontakt z młodą, aktywniejszą niż jego własna, psychiką. „Może to już ostatni mój lot. Ostatnia planeta, jaką oglądam. Ostatnie istoty rozumne z innych światów — myślał Starszy. — Czemu on się niepokoi? Czyżby te istoty były zdolne napaść nas niespodziewanie, tak jak tamte na Rinkri? Ale tam panowała epidemia, oni na przemian to popadali w zupełne otępienie, to znów opanowywał ich ślepy, niepohamowany gniew... A tu? A jeśli to powietrze...” Przypomniał sobie, że po wyjściu z rakiety raz tylko otworzył zawór skafandra i raz tylko wciągnął w płuca to gęste, ostre, odrażające powietrze, i wtedy o mało nie stracił przytomności. Analiza dostarczonych przez roboty próbek wykazała, że atmosfera tutejsza nie jest trująca, ale przesycona tlenem, należy zatem pozostać w skafandrach. „Jeśli to powietrze... Ale nie, przecież oni mieszkają tu stale i zdołali się do niego przystosować... ale jeżeli rzeczywiście zaszły tu jakieś nagłe zmiany w biosferze...”

— Zdaje się, że już rozumiem, w czym rzecz — powiedział zbliżając się Młodszy. — Chodź, coś ci pokażę. Spójrz choćby tu.

Starszy spojrział i cofnął się ze wstrętem.

— To prymitywne formy życia — stwierdził po chwili milczenia.

— Tak. Ale przecież pożerają się wzajemnie. I popatrz, z jakim okrucieństwem! Wiesz? Te małe czarne rzuciły się kupą na tego dużego skrzydlatego. On jest martwy, a one go pożerają.

— No to co? Gdyby to były istoty rozumne...

— Może są rozumne — sprzeciwił się Młodszy. — Popatrz, przecież działają w wysoko zorganizowany sposób. I, patrz, mają tu dom! O, tam, pod tym dużym krzakiem. A może to całe miasto?...

— Fantazjujesz. Tak by miały wyglądać istoty rozumne? Przecież to przypomina nasze owady.

— A mieszkańcy Ankry? Co sobie o nich z początku pomyślałeś?

— W każdym razie nie uważaliśmy ich za owady. Po prostu, no, niedokładnie ich widzieliśmy... To zupełnie coś innego.

— Być może — powiedział Młodszy, śledząc ożywiony ruch wśród czarnych istotek. — Ale to bardzo duże owady, bardzo duże...

— Tutaj przecież wszystko jest bardzo duże. To planeta gigantów. Jej rozumni mieszkańcy z pewnością będą dwa lub trzy razy więksi niż my. Popatrz na te kwiaty, na tę trawę. I cóż za zadziwiająca siła witalna! Wiesz, korzenie tej rośliny rozłupały kamień. Ostre światło, pod dostatkiem ciepła i wilgoci, zwiększone napromieniowanie, niewyobrażalne zęszczenie tlenu... tak, życie tutaj musi się rozwijać znacznie bujniej niż u nas, jego formy muszą być znacznie różnorodniejsze. I właśnie dlatego tutejsze życie wydaje nam się drapieżne, okrutne, agresywne...

Łopocąc jaskrawo rozmalowanymi wzorzystymi skrzydłami przeleciał nad nimi dziwny stwór o smukłym, pokrytym puchem tułowiu. W jego wypukłych błyszczących oczach odbijało się światło napływające z nieba. Starszy zapatrzył się na cudaczny, trzepotliwy lot tego dziwnego stworzenia. Ale nagle z góry dobiegł jakiś szum, głuchy gwizd rozcinanego gęstego powietrza. Wielki ciemny cień prześliznął się nad nimi, rozłożył szeroko gładkie skrzydła, rozdziawiła się trójkątna paszcza pełna twardych narośli, dał się słyszeć wstrętny chrzęst i ciemny cień znów wystrzelił ku górze unosząc trzepocącą się bezradnie istotę o pstrych skrzydłach.

— Tak, życie jest tu rzeczywiście intensywne! — stwierdził ironicznie Młodszy. — A teraz chodźmy tam — poprowadził Starszego na sarny brzeg jeziora. — Popatrz, tu jeszcze lepiej widać tę siłę witalną. Spójrz w wodę, tu, przy samym brzegu.

Nad połyskliwą wodą tańczyły małe leciutkie owady. Przy brzegu było płytko, dno porastało gęste zielsko. W podwodnych zaroślach siedziało w bezruchu dziwaczne stworzenie o gładkiej lśniącej skórze — miało płaską głowę i szeroki otwór gębowy. Jego lśniące boki wydymały się miarowo. Kolor owego stworzenia nieomal uniemożliwiał odróżnienie go od tła podwodnych roślin. Jego głowa odrobinę wystawała z wody, oczy były wybałuszone i wydawało się, że są martwe. Gdy tylko zbliżyły się szybujące owady, z szerokiej paszczy błyskawicznie wytrysnął wąziutki błyszczący języczek i nieostrożne tancerki przylgnęły doń i zniknęły w czeluściach rozwartej paszczęki. Stworzenie działało sprawnie jak precyzyjny mechanizm.

— Pierwszy stopień... prawdopodobnie pierwszy... — powiedział Młodszy. — Teraz popatrz na tego stwora. Cóż za konstrukcja!

Dalej wzdłuż brzegu stała zwarta ściana wysokich roślin o gładkich pniach i długich jedwabistych i błyszczących liściach. Ściana ta sięgała daleko w jezioro. Pośród

tych liści głupawo sterczał gigant cudem utrzymujący się na jednej długiej i cienkiej nodze. Jego nie-wiarygodnie długi i wyostrzony nos wycelowany był w wodę. Stwór ów raptem szybko ude-rzył nosem w wodę i natychmiast poderwał głowę. W zaciśniętej paszczy trzepotało się i wy-machiwało długimi łapami takie samo lśniące stworzenie jak to, które łowiło małe owady przy brzegu. Stwór odrzucił głowę do tyłu i zaczął żywcem pożerać nieszczęsne zwierzątko. Starszy odwrócił się.

— Spójrz tam — powiedział Młodszy.

Po wodzie pływały inne jeszcze, dziwne ptaki — niewielkie, eleganckie, o płaskich szerokich nosach.

— Widzisz, tam, z boku, jest matka z całą rodziną. — Młodszy wskazał ptaka, wokół którego krążyły pstre puszyste pisklęta. — Dopiero co było ich sześć, teraz jest tylko pięć. Patrz na tego, który płynie ostatni.

Pisklę pisnęło słabo i żałośnie, zadarło krótkie skrzydełka i nagle zniknęło pod wodą. Po wodzie rozeszły się kręgi, a potem na powierzchni rozpląnęła się niewielka czerwona plama.

— Co o tym powiesz? — zapytał Młodszy.

— Dziwi cię to? Na niższych stopniach rozwoju można się z tym zetknąć dosyć często. Przecież byłeś na Mitegrze, widziałeś sam.

— Mitegra to zupełnie inna sprawa! — zaprotestował Młodszy. — Tam eliminowano degeneratów.

— No, nie zawsze można się w tym tak łatwo połapać. Okrucieństwo na Mitegrze było przerażające.

— A tu, gdzie nawet powietrze przesycone jest mordem? Przecież tutaj zabójstwo jest prawem natury! Czy tego nie widzisz? Jakaż tu może być cywilizacja? Nawet na Mitegrze nie było cywilizacji.

— A paistry?

— Paistry! Paistry prawie się nie różniły od dinków, a dinki...

— Dinki miały wskaźnik mniejszy od jedności. Doskonale o tym wiesz. A paistry prze-kroczyły jedność.

— Tylko najzdolniejsze egzemplarze! — zaprotestował Młodszy. — Sam skontrolowa-łem całe plemię, które mieszkało nad wielką rzeką na zachodzie. Mniej więcej co dwunasty miał wskaźnik wyższy niż jeden. Reszta była na poziomie diuków. Zresztą to nie o to chodzi. Tak czy owak na Mitegrze obserwowaliśmy zaledwie pierwsze kroki cywilizacji i baliśmy się nawet, że jej rozwój pójdzie w niewłaściwym kierunku... właśnie z powodu tego ich okrucieństwa... A poza tym — skąd wiesz, że spotkaliśmy tu właśnie niższe formy życia? Być może, że te ptaki... albo czarne owady, które żyją w tak wielkich koloniach...

— A po co ptakom aparatury latające? Cóż to, czy nie potrafią latać?

— A po co nam aparaty, które służą do poruszania się po równej powierzchni? Przecież potrafimy się po niej poruszać i bez nich — zaprotestował Młodszy. — Zresztą nie twierdzą bynajmniej, że te ptaki czy te owady to właśnie rozumni mieszkańcy tej planety. Chciałem tylko powiedzieć, że istnieje i taka możliwość. A także — że tutejsze istoty rozumne, jak-kolwiek by wyglądały, z pewnością również biorą udział w tym okrutnym drapieżnym koło-wrocie. Pomyśl, jak może wyglądać cywilizacja na takiej planecie?

— Bardzo różnie — odparł zniecierpliwiony Starszy. — Niesłusznie zakładasz istnienie tak prostych związków między prawami obowiązującymi w przyrodzie a prawami, którymi się rządzi rozwinięte społeczeństwo. Dzięki rozumowi mogli się wznieść wyżej, przerwać ten krąg okrucieństwa i tępienia się nawzajem.

Ale mówiąc to bał się w głębi ducha, że Młodszy ma rację. Ta obfitość światła, ciepła, wilgoci, która zrodziła tak bujne i tak niepohamowane życie, być może, rzeczywiście popychała wszystko, co żyje, do walki, włączała w nieprzerwany krąg wzajemnego unicestwiania się. Być może działa się tak wszędzie, nawet na najwyższych stopniach rozwoju... Zupełnie inaczej niż na ich ojczystej planecie, gdzie wszystko, co żyje, związane jest nierozzerwalnym łańcuchem i może istnieć tylko w warunkach nienaruszalnej pokojowej symbiozy. Wszystko — zwierzęta i ptaki, owady i rośliny — zależy od siebie nawzajem, ale ta zależność polega na wzajemnym wzbogacaniu się, a nie na unicestwianiu...

— Zdaje mi się, że trzeba włączyć lanti — powiedział Młodszy. — Nie zajdziemy daleko przy takim upale, a termoregulatory pochłoną co najmniej tę samą ilość co lanti.

— Spróbujemy. Nie wiemy jeszcze, czy oni mogą nas widzieć. Kiedy dam sygnał, natychmiast włączaj migotanie i ląduj.

Przesunęli w prawo małe dźwignie na miękkich tarczach, umieszczonych na piersiach, i dolne części ich ciał osnuły na wpół przezroczyste obłoczki. Potem oderwali się od ziemi i poszybowali nad jeziorem, nad zaroślami, łagodnym lukiem omijali wzgórza. I Starszy, i Młodszy patrzyli uważnie na dziwny nieznany świat, który leżał na dole.

Kiedy znaleźli się po tamtej stronie wzgórza, stało się jasne, że cywilizacja na tej planecie nie tylko zdążyła się ukształtować, ale żyje nadal, nie zniszczyło jej, jak się tego obawiał Młodszy, owo wzajemne unicestwianie się tutejszych mieszkańców. Wzdłuż dróg, po których pędziły wyjące maszyny, stały szeregi słupów połączonych ze sobą wieloma rzędami mocno napiętych nici metalowych. Młodszy chciał się zbliżyć do tych słupów, by zbadać, co to takiego, ale Starszy go powstrzymał.

— Być może, że zachował się u nich jeszcze taki archaiczny sposób przesyłania energii na odległość. Gdzieś o tym czytałem... Chyba było coś w tym rodzaju na planecie Niebieskich Gór.

— Więc to niezbyt wysoko rozwinięta cywilizacja — stwierdził z przekonaniem Młodszy.

— Rozwój może być nierównomierny... — zaprotestował Starszy. — Uwaga! Zdaje się, że to oni... Włączaj migotanie! Ląduj tam, w tych zaroślach nad rzeką.

Przesunęli dźwignienki ku dołowi i nacisnęli małe guziczki po lewej stronie tarczy. Na wpół przezroczyste obłoczki zaczęły szybować w dół, a wokół przybyszów wytworzyło się migotanie o wysokiej częstotliwości, rozmyło kontury ich ciał, które przemieniły się w lśniące, opalizujące plamki, niedostrzegalne w jasnym świetle dziennym. Wylądowali w zaroślach na brzegu powolnej przezroczystej rzeki i zaczęli obserwacje.

Ci, których dostrzegł z góry Starszy, zbliżali się do rzeki. Poruszali się powoli i dość niezręcznie. Ich ciała okryte były czymś w rodzaju skafandrow, ale głowy i przednie kończyny mieli obnażone. Przybysze wpatrywali się w nich z uwagą.

— Myślisz, że to właśnie oni? Tacy niezgrabni, tacy źle przystosowani?... — cicho zapytał Młodszy. — Jak oni w ogóle zachowują równowagę, przecież są cudacznie wyciągnięci ku górze? Popatrz na te przednie kończyny. Są chwytne. Ale co za żałosny kształt!

— Nie są wcale tak źle skonstruowani — zaprotestował Starszy.. — Gorzej jest z ich głowami. Jak sądzisz, co to za obrzeżone otwory po bokach? To organ słuchu, czy co? A poza tym odnoszę wrażenie, że widzą tylko z jednej strony, jak zresztą wszystkie tutejsze stworzenia. Mają specjalne organy wzroku, jak ci z Ankry. Te błyszczące otworki na przedniej części głowy to ich oczy. Widzisz, kiedy chcą zobaczyć, co jest z tyłu, muszą się odwrócić.

— Ależ oni są olbrzymi, ależ ogłuszające mają głosy — powiedział Młodszy. —

Zoba-czysz, że są tak samo okrutni jak wszystko na tej planecie.

Olbrzymie dwunogie istoty przeszły koło nich rozmawiając głośno. Starszy włączył psychosyntezyzator, ale z przetłumaczonych urywków zdań prawie niczego nie zrozumiał. Tylko jedno było jasne — jest im gorąco i są źli.

— Patrz tam, za nami — szepnął nagle Młodszy. — Co to?

Z rzeki gramoliły się na brzeg trzy istoty podobne do tych, które minęły ich przed chwilą, ale znacznie mniejsze i bez skafandrów. Krople wody błyszczały na ich gładkiej skórze. Istoty położyły się na porośniętym trawą brzegu i zaczęły szybką, ożywioną rozmowę. Ich głosy były wysokie. Syntezyzator tłumaczył: „Zimna woda. Nie, po prostu za długośmy w niej siedzieli. Patrz, poszli... (tu syntezyzator opuścił kilka wyrazów, zasygnalizował tylko, że to imiona własne). Wczoraj złapał dużo ryb. Mojej matce dał (syntezyzator skomentował, że nie chodzi tu o «dawanie» w normalnym znaczeniu, to coś bardziej skomplikowanego). Swoje-mu... (znowu imię własne) też dał tyle ryb, że teraz leży i nawet ogonem nie machnie”.

— Czyżby oni mieli ogony? — zapytał Młodszy, który uważnie śledził tłumaczenie syntezyzatora.

— Być może niektórzy z nich mają — powiedział bez przekonania Starszy.

— Ci nie mają. Co to za jedni, jak myślisz, czy to jakiś inny ich gatunek?

— Raczej niedorozwinięte osobniki.

— A może to dzieci?

— Dzieci także miałyby skafandry... O, popatrz. ubierają się. Więc to jednak dzieci. Ale dlaczego zdejmują skafandry, kiedy wchodzi do wody?

— Być może, że woda jest ich naturalnym środowiskiem i nic im w tym żywiole nie zagraża. Ale co to znaczy: „złapał ryby”? I jeszcze nakarmił nimi kogoś, kto ma ogon? Czy to dziecko także jadło rybę?

— Sam przecież mówiłeś, że oni też muszą być włączeni w ten obieg...

— Tak, ale jednak nie wszystko rozumiem. Przypuśćmy, że oni się odżywiają właśnie rybami. Czyżby naprawdę mieli tak prymitywne pożywienie? Każdy z nich łapie ryby, zjada je, czasem karmi nimi innych... Widzieliśmy wielkie skupiska domów... Nawet jeśli wznie-siono je nad wielką rzeką, to przecież ryb dla wszystkich nie wystarczy. I kto w takim razie buduje i obsługuje wszystkie urządzenia, kto wychowuje dzieci i młodzież, kto się troszczy o ich zdrowie, skoro każdy sam się musi martwić o swoje pożywienie i zdobywać je w tak prymitywny sposób?

— Nie wiem. — Starszy nadal słuchał tłumaczenia. — Nie, wątpię, żeby robili to z konieczności. Zapewne sprawia im to... przyjemność. Łowią ryby w wolnych chwilach.

— No widzisz! — triumfował Młodszy. — Mają naturę drapieżników. Patrz, te większe rozsiadły się nad rzeką. Podejdźmy do nich bliżej.

Biała gwiazda pochylała się już ku widnokręgowi, kiedy przybysze wyszli z nadbrze-żnych zarośli i znowu włączywszy lanti ruszyli w stronę pobliskiego skupiska dziwnych wielokątnych budowli. Byli wstrząśnięci.

— Nic nie mogę zrozumieć — powiedział Starszy. — Nigdzie niczego podobnego nie widziałem. Widocznie w tych naczyniach, które przynieśli, jest jakaś trucizna, która działa przede wszystkim na świadomość. Widziałeś? Ich ruchy stały się mniej skoordynowane, świadomość się zamgliła, impulsy agresywne wyraźnie się wzmogły. Kiedy ten najwyższy uderzył tamtego w głowę, a tamten upadł, pomyślałem... — zająknął się.

— Ja też pomyślałem, że zacznie go pożerać. To by w każdym razie było logiczne, choć straszne. Ale on nawet nie dotknął tego leżącego bez przytomności, tylko usiadł i pił nadal trujący płyn. Dlaczego?

— Tak... A u niektórych spośród nich wcale się nie wzmogły impulsy agresywne tylko raczej instynkty towarzyskie, co prawda chaotyczne...

— W pierwszej chwili myślałem, że chce zabić jeszcze jednego... Kiedy rzucił się na niego i objął go przednimi kończynami i zaczął ścisnąć... i obaj tak krzyczeli.

— Tak... A potem tak długo wyli wszyscy naraz... Cóż za dziwne zachowanie! Nie mogę zrozumieć, po co oni to wszystko robią. A teraz śpią.

— A może jednak któryś z nich się obudzi i pożre pozostałych? Chociaż... nie, nie wyglądamy na to.

Powoli przelatywali nad wierzchołkami wysokich drzew. Młodszy wpatrywał się w zielony gąszcz, a potem nagle pośpiesznie pomknął do przodu.

— Bardzo dziwny świat — powiedział ze smutkiem, kiedy Starszy się z nim zrównał. — Ptaki, małe ptaki karmią swoje pisklęta owadami! Nieustannie znoszą im żywe owady, a te maleństwa pochłaniają takie ich ilości... W pewnym gnieździe duże pisklę na moich oczach wypchnęło drugie pisklę, które spadło i zabiło się... Nie boisz się zbliżyć do tych domów?

— Sądzę, że oni nas nie widzą — powiedział bez przekonania Starszy. — A zresztą, być może, lepiej będzie, jeżeli poczekamy, aż gwiazda skryje się za horyzontem. Istoty, które mają tak zbudowany organ wzroku, zazwyczaj nie rejestrują promieni podczerwonych, po zachodzie gwiazdy powinny widzieć bardzo źle.

Wylądowali na skraju lasu i poczekali tam do zmroku. Potem ruszyli do miasta. Im bliżej byli domów, tym wolniej i ostrożniej się poruszali. Kiedy znaleźli się na wąskich ulicach miasta, zrozumieli niebawem, że nikt ich właściwie nie widzi ani nie słyszy. W wątłym świetle zmierzchu wydawali się mieszkańcom miasta jakimś skupiskiem ledwie widocznych mętnych i porozrzucanych plamek. Raz zainteresowało się nimi jakieś powoli wędrujące stworzenie o siwej głowie, był to najwidoczniej stary osobnik. Przez pewien czas osobnik ten wędrował w ślad za nimi, przyglądał się im, ale coraz częściej potrącał go inni, nie wiadomo dokąd śpieszący mieszkańcy, aż wreszcie przystanął, zgubili mu się. Ich także potrącano brutalnie, niekiedy nawet boleśnie, zapragnęli się więc wydostać na mniej uczęszczane ulice. Nie można było włączyć lanti — pomiędzy domami porozpinana była gęsta siatka metalowych nici, przez którą trudno byłoby przeniknąć ku górze, byłoby to zresztą niebezpieczne, wiedzieli już bowiem, że tymi nitkami rzeczywiście przekazuje się energię.

Wreszcie, zmęczeni i porządnie poobijani, znaleźli się na przestronnym placu i odetchnęli swobodniej. Wielka gwiazda całkowicie się już skryła za linią horyzontu, na niebie były teraz widoczne inne dalekie gwiazdy, które prawie wcale nie dawały światła, potem wypłynął na niebo wąski biały sierp, zalał wszystko niewyraźną zimną poświatą. Przybysze zobaczyli, jak niepewnie poruszają się tubylcy. Oni sami natomiast nadal widzieli wszystko — domy, maszyny i tutejsze stworzenia promieniowały w podczerwieni, a poruszanie się w świetle promieni podczerwonych nie było bynajmniej trudniejsze niż za dnia. Nawet łatwiej-sze. Upał zelżał, powoli milkły ogłuszające dźwięki, które jeszcze tak niedawno wypełniały wąskie szczeliny między domami — głosy, łoskot maszyn, stukoty, piski i wycie dysharmicznej w odczuciu przybyszów muzyki. Miasto się uciszało, jego mieszkańcy coraz to rzadziej przemykali ulicami, zapalały się i znowu gasły przezroczyste prostokątne otwory w ścianach domów.

Po drugiej stronie placu znajdował się wielki ogród. Było w nim prawie zupełnie ciemno, ciemność panowała na jego bocznych drogach, tylko główne oświetlone były szeregami niezbyt jasnych latarni. Mieszkańcy miasta wchodzili do tego ogrodu, rozpraszali się w nim. Przybysze ukryci w cieniu drzew ruszyli za największą grupą tubylców. Znaleźli się w części ogrodu, która ze wszystkich stron ogrodzona była jakimiś

dziwnymi płaskimi przedmiotami. Zbadawszy te przedmioty skonstatowali, że są to sztucznie dzielone pnie drzew. Z drzew również zrobione były długie rzędy siedzeń, które zajmowały całą przestrzeń między ogrodzeniami. Z przodu, dość wysoko, białą prostokątny ekran.

— Jak oni lubią kanty! — westchnął Młodszy. Nieraz już miał okazję przekonać się, jak twarde potrafią być takie kanty. Czyż można porównywać te zimne, bezduszne linie z naszymi łagodnymi zaokrągleniami? Jak sądzisz, gdzieśmy się znaleźli? — Ponad ławeczkami pobiegł w kierunku ekranu szeroki snop światła, ekran zajaśniał, wystąpiły na nim jakieś duże znaki. Starszy nie odważył się na włączenie syntezatora — zbyt dużo tu było tuziemców — więc przybysze nie zrozumieli znaczenia tych znaków. Ale potem zjawiły się na ekranie ruchome obrazy i przybysze siedzieli zapatrzeni.

Obrazy te były płaskie, czarno-białe, dźwięk również był niedoskonały i zawsze dobiegał z jednego tylko punktu, wszystko to było niezmiernie staroświeckie w porównaniu z tym, do czego byli przyzwyczajeni, a więc w porównaniu z trójwymiarowym, plastycznym w ruchach obrazem w naturalny sposób zsynchronizowanym z dźwiękami, zapachami, dającym pełne złudzenie materialnej rzeczywistości. Ale i tu, w tych umownych, płaskich i pozbawionych koloru obrazach dawało się wyczuć piękno prawdziwej sztuki i przybysze potrafili docenić to piękno, choć to nie tyle ono, ile żądza poznania sprawiała, że tak uważnie śledzili dzieje bohaterów na ekranie.

Obejrzeni do końca jeden film, zostali jeszcze i na drugim, po czym wyszli, czując, że ich umysły pełne są sprzecznych i niejednoznacznych odczuć. Nie chciało im się teraz opuszczać miasta, tak spokojnego i cichego o tej porze, śpiącego i bardziej zrozumiałego niż za dnia. Położyli się pod krzakami, na zimnej ostrej trawie przy ciemnej bocznej alejce.

— Tak, to bardzo zawiła cywilizacja. Rozwijają się z trudem, z niewiarygodnym trudem, niełatwo im się uwolnić od strasznego dziedzictwa, które pozostawiła im okrutna przyroda tej planety. Nic dziwnego, że są pełni sprzeczności... — mówił Młodszy.

— Tym bardziej zasługują na zbadanie — powiedział Starszy.

— Tylko na zbadanie? Czy nie wolno nam im dopomóc, choćby tylko trochę?

— Nie, nie wolno nam. Wiesz przecież, że to jest niedozwolone. Nie możemy zakłócać naturalnego toku rozwoju cywilizacji. A w ogóle jesteś nazbyt impulsywny. Przecież jeszcze niedawno nienawidziłeś tubylców. Czuję to.

— To prawda — przyznał Młodszy. — Ale przecież miałem wystarczające powody także i do nienawiści. Dopóki się nie zrozumie, jak oni tu żyją...

— Nie polubiłem ich nawet wtedy, kiedy ich trochę lepiej poznałem. Nadal są nam obcy. Ale imponują mi. Rozumiem, jak im jest trudno. Słabsi ulegliby w takich warunkach, oni zaś idą naprzód — potykają się, przewracają, kaleczą do krwi, znów się podnoszą, ale idą. Wydaje mi się, że to warte uznania. Wierzę, że zdołają odnieść zwycięstwo nad sobą, że wyzbędą się tych okrutnych zgubnych sprzeczności.

— To możliwe. Ich siła witalna jest bardzo potężna — powiedział z zadumą Młodszy. — Gdybyśmy mieli taką... zresztą nie jest nam potrzebna.

— Taka siła rodzi się w walce z przeciwnościami. Na szczęście nie musielibyśmy zdobywać takiej niesłychanej wytrzymałości, takiej umiejętności dostosowywania się do warunków.

— Tak. Czy pamiętasz tego, który odmawiał spożywania posiłków i zupełnie opadł z sił? Oni powinni przecież jadać trzy razy na dobę. A on nie jadł przez wiele dni i żył nadal.

— Ale przecież to, przeciwko czemu protestował, już nie istnieje, prawda? — zapytał Starszy. — To był najwyraźniej film historyczny. Czy też pokazują go potajemnie, kiedy jest ciemno?

— Nie, w otaczających nas tubylcach nie wyczułem ani napięcia, ani strachu — zapro-testował Młodszy. — Denerwowali się, ale tylko dlatego, że podzielali uczucia bohatera filmu. Widocznie ten sposób sprawowania rządów należy już do przeszłości. Artyści zresztą byli ubrani inaczej, niż się ubierają dzisiejsi mieszkańcy miasta. Jak nazywali tego głównego władcę? Zdaje się, że Tsaar? No, więc tego Tsaara już na pewno nie ma. Ale za to wojna... Pamiętasz te straszliwe sceny w pierwszym filmie? Co za potworna i wymyślna technika służy wzajemnemu unicestwianiu! Trudno uwierzyć, że wymyśliły to istoty rozumne...

— Tylko istoty rozumne mogły to wymyślić — cicho powiedział Starszy. — Sądzisz zatem, że taka wojna może się jeszcze powtórzyć?

— Tak. Docierało do mnie promieniowanie psychiki widzów, bardzo wielu z nich było zaniepokojonych. Bali się. To niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

— A czy zrozumiałeś, jaka jest przyczyna tego dziwnego zjawiska? Czy to epidemia?

— Nie. Tego nie zrozumiałem. Być może, że to epidemia. Choć wątpię. Ale musimy rozstrzygnąć ten problem. Bo przecież, jeśli to jest choroba, to powinniśmy interweniować, prawda?

— Tak, oczywiście... — Starszy milczał przez chwilę. — Więc już nie uważasz, że cy-wilizacja tutejsza jest ogniwem w łańcuchu wzajemnego unicestwiania się? Przecież patrząc na problem w ten sposób, nietrudno by było wyjaśnić przyczyny powstawania wojen. Można nawet założyć, że wojna powinna trwać nieustannie to przygasając, to znowu wybuchając z nową siłą. To logiczniejsze niż teoria epidemii. Ale w takim razie nie mamy prawa wtrącać się do tych spraw.

Młodszy długo się zastanawiał. Kontakt z nim tym razem nie męczył Starszego — to już nie były eksplozje żywiołowych emocji, ale wytężona i rytmiczna praca myśli. Kontakt z tym jasnym teraz i zdyscyplinowanym umysłem sprawiał przyjemność.

— Masz rację, nazbyt ulegam emocjom — powiedział wreszcie Młodszy. — Teraz jednak spróbowałem usystematyzować wrażenia, jakich doznałem na tej planecie, i wydaje mi się, że słuszna jest hipoteza, którą postawiłeś na samym początku. Tak, oni są włączeni w krąg morderstw, każdy osobnik od chwili narodzin jest w to włączony, każda gałąź tutejszego drzewa genetycznego. I niezmiernie im trudno wyrwać się z tego kręgu. Ale oni — na razie tylko najlepsi z nich — dzięki potędze swojej myśli i swojej świadomej woli usiłują się jednak z niego wyrwać. Ich sztuka także skierowana jest przeciwko morderstwom, przeciwko złej woli, przeciwko gwałtowi i przemocy.

— To ich sztuka przekonała cię o tym?

— Tak, przede wszystkim sztuka. Przecież bardzo mało ich jeszcze znamy.

— Tak, bardzo mało. A jeśli ich sztuka wyraża tylko nierealne marzenia wybrańców... a raczej nie wybrańców tylko odszczepieńców? Tych osobników, którzy czują swoją straszliwą samotność wśród brutalnego, przepychającego się, wiecznie dokądś się śpieszącego tłumu, który oszalał się truciznami, aby uzyskać złudzenie szczęścia?

Młodszy znowu długo milczał.

— Zastanawiasz się czy to, co mówię, jest dostatecznie przemyślane. Masz do tego prawo — zapalczywie wypowiadałem wiele lekkomyślnych sądów, popadałem w skrajności. Powtórzyłeś zresztą jedno z moich przemyśleń o tutejszej cywilizacji. Tak, myślałem o tam-tych na brzegu rzeki i pomyślałem — cóż dla nich znaczy sztuka? Ale

potem przypomniałem sobie tych, którzy wraz z nami patrzyli na ekran. Było ich znacznie więcej, dla nich sztuka była czymś żywym, czymś nieodzownym. O nie, tak namiętna, tak bardzo pewna słuszności swoich celów sztuka nie mogła się zrodzić w oderwaniu od życia całego społeczeństwa.

Usłyszeli ciche, powolne kroki i u wylotu owej bocznej alejki zobaczyli dwie dziwne, świetliste sylwetki.

— Włączę psychosyntezyzator — powiedział Starszy kryjąc się w gąszczu. — Zrobimy jeszcze jedno doświadczenie. Ostatnie. Czas już na nas, musimy wracać.

Świetliste sylwetki zbliżyły się do nich. Być może, że przybysze zdążyli już przywyknąć do tuziemców, w każdym razie ta para nie wydała mi się ani brutalna, ani niezręczna, choć osobniki były wysokie i dziwaczne, niestabilnie zbudowane. Para usiadła na ławeczce i zdziwieni przybysze zobaczyli, że ciała tubylców mogą się zginać i załamywać w najprzedziwniejszych miejscach, jak gdyby były na zawiasach. A jednak przybysze dostrzegali w tych cudacznych ruchach swoistą grację i wyrazisty rytm. Ale pierwsze słowa, które zamieniła owa para, sprawiły, że przybysze przywarli do syntezyzatora.

— To wina wojny!

— Gdyby mój ojciec wrócił z wojny, wszystko ułożyłoby się inaczej...

Starszy śledząc ich promieniowanie zorientował się, że są to młode, pełne sił osobniki. I że się kochają. Już poprzednio zauważył, że rozumne istoty na tej planecie są dwupłciowe, a teraz wywnioskował, że osobniki siedzące na ławeczce reprezentują różne płci — ich kształty i ich głosy różniły się od siebie. Starszy podsumował znane sobie fakty i w myślach zaczął nazywać tego wyższego, mocniej zbudowanego, którego głos składał się z niższych tonów — „On”, a drugą istotę, drobniejszą i krągłąszą, o śpiewnym wysokim głosie nazwał „Ona”.

— Ale teraz już nie będzie wojny. Ludzie jednak zmądrzeli — powiedziała Ona.

— Kto wie? Niektórzy są zdania, że człowiek wcale się nie zmienia nawet w porównaniu z zamierzchnią starożytnością. A w każdym razie zmiany są nieistotne, nie są to zmiany na lepsze.

— Tak mówią reakcyjniści.

— Dlaczego reakcyjniści? Sam niekiedy patrząc na jakiegoś pijanicę, darmozjadę czy chuligana myślę sobie — tacy jak oni zawsze byli, są i chyba będą.

— A co w takim razie będzie z komunizmem?

Przybysze byli wstrząśnięci. Tam, nad rzeką, wydawało im się, że psychosyntezyzator da-je niedokładne przekłady, że sposób budowy myśli i mowy tubylców jest dlań nazbyt skomplikowany. Teraz zaś syntezyzator tłumaczył nieomal słowo w słowo. Największe trudności miał z rozszyfrowaniem tego, co On powiedział o ludziach, którzy zawsze byli, są i będą. Syntezyzator przełożył to „istoty niepełnowartościowe”, potem jednak dodał: „Ale z różnych powodów. Jedne z nich nie chcą nic robić, inne są bardzo złe i niedobrze się zachowują, a jeszcze inne piją coś niedobrego”.

— Widzisz! — powiedział Młodszy. Miał na myśli tamten obrazek nad rzeką. — Ich język zna negatywne określenia takich postępów.

Pytanie, które zadała Ona, syntezyzator w pierwszej chwili także rozszyfrował niedokładnie: „A co będzie ze wspólną pomyślnością?” i dopiero później dodał: „Mowa jest zapewne o idealnym ustroju społecznym, który wkrótce powinien zapanować na całej planecie”. Ale w zasadzie syntezyzator znakomicie dawał sobie radę i im dalej, tym było lepiej.

„Dzieje się tak, bo ich psychika jest na wyższym poziomie, bardziej zbliżonym do

naszego” — pomyślał Starszy, a Młodszy natychmiast powiedział to samo na głos. Usiłowali wydedukować z rozmowy, kim są ci wieczorni rozmówcy. Młodszy sądził, że są to uczeni, okazało się jednak, że to zupełnie młodzi ludzie, że dopiero niedawno zdecydowali się, jaki sobie wybrać zawód, i teraz przygotowują się do wykonywania tych zawodów. Ona w przyszłości będzie uczyła dzieci. On chce budować drogi i mosty. Ale długo jeszcze muszą się w tym celu uczyć. Teraz, z powodu gorącej pory roku, mają przerwę w nauce i przyjechali tu, ponieważ tu się urodzili i tu mieszkają ich rodzice.

— Słuchaj, wygląda na to, że to zupełnie zwykli, niczym się nie wyróżniający spośród innych przedstawiciele rozumnej rasy! — powiedział Młodszy.

Starszy zgodził się z nim — tak, chyba tak właśnie jest. Więc Młodszy mówił dalej:

— Czy teraz wierzysz, że oni będą w stanie wyrwać się z kręgu nienawiści i zabójstw? Że podźwigną się na wyższy szczebel rozwoju?

On i Ona siedzieli trzymając się za ręce. Twarze ich zwrócone były ku dalekim gwiazdom.

— Już niedługo — mówili. — Za rok, za dwa, no, najdalej za pięć lat ludzie zaczną latać na pobliskie planety... A potem — podróże międzygwiazdne... My już tego chyba nie zobaczymy. Ale chciałbym polecieć na Księżyc i na Marsa... Więc polecisz. A co, czy tam nie będą potrzebne drogi i mosty? Mój zawód jest pod tym względem gorszy... No, dla ciebie też się tam znajdzie zajęcie, skoro już się z tym uporamy... Dobrze by to było... Tak...

Starszy dał znak i powolutku zaczęli się odsuwać od ławki, na której siedziała zakocha-na para. Wyszli za ogrodzenie opustoszałego parku, włączyli lanti i polecili ponad cichym uśpionym miastem, które wygasilo już swoje światła. Chcieli się jak najszybciej dostać na wzgórze, u którego stóp ukryta była ich mała rakieta patrolowa — kończył im się już zapas mieszanki do oddychania, a syntetyzowanie jej z otaczającego środowiska byłoby zbyt kłopotliwe.

— Trzeba będzie jeszcze tu wrócić — powiedział z zadumą Młodszy. — Zbadać wszystko dokładnie. Jest tu mnóstwo ciekawych i zupełnie niezwykłych rzeczy.

— Oczywiście, że tak to zreferujemy Głównemu — odparł Starszy. — Trzeba będzie nawiązać z nimi kontakt, wymienić doświadczenia.

— Tak. Bo pomóc im nie możemy. Byłem w błędzie. Nie jest im potrzebna żadna pomoc.

Światła miasta z wolna tonęły i rozplywały się w mroku. Jakiś czas widać było jeszcze na horyzoncie rudawą łunę — odbłask tych światel na chmurach — potem i ona zniknęła. Lanti łagodnym lukiem wymijały wzgórze.

— Nie, nie jest im potrzebna — powtórzył Starszy. — Są silni, sami dadzą sobie radę...

Wskazał na coś pod nimi. Szybko i bezszelestnie leciał tam wielki ptak o okrągłych sforyzujących oczach. Złożył skrzydła, spadł ku ziemi i przejści wstrętem i litością przybysze usłyszeli pełen bólu i przerażenia krzyk — przedśmiertelny krzyk jakiegoś nieszczęsnego zwierzątka.

— Tak, sami dadzą sobie radę... Ale będą się musieli nad tym napracować. Niełatwo jest przebudować coś, co wywodzi się z najtajniejszych głębi psychiki, z ogólnych praw natury wspólnych dla całej planety. Trudne to będzie, bardzo trudne...

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w rejonowym mieście N. nie zaszło nic nadzwyczajnego. Ciężarówka zderzyła się z autobusem, ale ofiar w ludziach nie było; amatorzy popijawy na świeżym powietrzu udali się nad rzeczkę, żeby oblać wolny od pracy dzień, tam wszczęli awanturę, rozbili głowę malarzowi pokojowemu, I.

Nikiforowowi, on zaś zełgał w poliklinice, że spadł ze strychu, i dostał zwolnienie „z powodu wypadku przy pracy”. Oby-watelce L. Sidorowej, zamieszkałej na Kosmonautów pod czwartym, skradziono z podwórza dwie pary męskich trykotowych kalesonów suszących się na sznurze. I to już wszystko, co zarejestrowały protokoły milicyjne — jak na dzień wolny od pracy wyjątkowo skromnie.

Co prawda, zdarzyło się jeszcze to i owo, czego protokoły milicyjne nie zanotowały, ale nikt temu nie dawał wiary. Może zresztą nic takiego w ogóle się nie zdarzyło, może ludzie wszystko zmyślili z nudów.

I tak na przykład emeryt W. Małaszkin, przezywany na podwórku „nieznośnym dziady-gą” z powodu swego niepohamowanego wścibstwa (byli nawet tacy, którzy używali dosa-dniejszych określeń), przysięgał na wszystkie świętości, że kiedy przed wieczorem spacerował sobie po głównej ulicy miasta, po Prospekcie Jurija Gagarina (dawniej Hutnicza, a je-szcze dawniej Gubernatorska), był świadkiem niespotykanego zjawiska. Mianowicie poprzez zwarty tłum spacerowiczów przepychał się niewidzialny człowiek. Jego, W. Małaszkin, również ów niewidzialny człowiek potrafił, na szczęście niezbyt boleśnie — Małaszkin od-niósł wówczas wrażenie, że niewidzialny jest z gumy, nadmuchiwany. Zresztą nie był on tak zupełnie niewidzialny, bo ten i ów fragment jego ciała można było dostrzec, wszakże bardzo niewyraźnie. Małaszkin chciał schwytać niewidzialnego, wiedząc wszakże, jak rozbewstwioną mamy dzisiaj młodzież. obawiał się, że przy realizacji tego szlachetnego zamiaru mógłby oberwać po karku, a potem — szukaj wiatru w polu. Na pytanie: „Co tu ma do rzeczy mło-dzież?” — emeryt Małaszkin odpowiedział, że komu, jeśli nie młodemu, przyszło do głowy wynajdować niewidzialność. Te darmozjady mogły coś takiego wykombinować, wiadomo bowiem, że nie pociąga ich rzetelna praca, nie uprawiają sportów, żyją w izolacji od kolekt-ywu i taka czapka-niewidka bardzo by im się przydała przy popełnianiu przestępstw. Dalsze rozwijanie tej tezy przerwał Małaszkinowi przedstawiciel komitetu blokowego K. Łukajanow, który zaprotestował przeciwko takiemu krzywdzącemu naszą młodzież uogólnianiu. Poza tym K. Łukajanow dał do zrozumienia, że w ogóle nie wierzy w ani jedno słowo z tego, co tu wygadywał emeryt W. Małaszkin, i że niewidzialni ludzie to nienaukowe wymysły. Obecni przy tej dyskusji wyrazili w kuluarach pogląd, że staruch załgał się ze szczeniem, skleroza go wykańcza, ale że w każdym razie mając do czynienia z takim intrygantem, trzeba się mieć na baczności, a także że K. Łukajanow myli się, jeśli sądzi, że jego stopień pułkownika w stanie spoczynku i jego odznaczenia wywrą jakieś wrażenie na staruchu, bo emeryt nie z takimi dawał sobie radę, a teraz to już na pewno zajmie się zbieraniem interesujących wiadomości o pułkowniku i przekazywaniem ich redakcjom, komitetowi blokowemu, organizacji partyjnej, a w ogóle to lepiej trzymać się od niego z dala.

Natomiast fotoamatorów Kolę Piechtierowa i Walerka Czajkina nawet przyjaciele wy-śmiali — Kola i Walerek pletli zupełne bzdury. Twierdzili, że robili zdjęcia nad rzeką i że po wywołaniu filmu na jednym z kadrów zobaczyli jakieś dziwne, podobne do ośmiornic stwory. Stwory te kryły się za krzakami. Kola i Walerek obstawali przy swoim, niczego jednak nie mogli udowodnić, ponieważ ów kadr z ośmiornicami wycięli z filmu i pobiegli z nim do nauczycielki, do Klaudii Siergiejewny, ale po drodze w jakiś niewytłumaczony sposób zgubili kliszę. I nie znaleźli jej już, choć przeszukali całą drogę od strychu w domu Koli do ganku domu Klaudii Siergiejewny. Może porwał ją wiatr. A szkoda. Był to przecież bądź co bądź dowód rzeczowy, a nie jakaś tam dziecięciniała gadanina o czapce-niewidce.

Studentce drugiego roku Instytutu Pedagogiki Gali Swiridowej przyjaciółki również nie uwierzyły, choć mówiła nie o żadnych ośmiornicach ani niewidzialnych

ludziach, tylko o Witi Szewcowie, w którego istnienie nikt bynajmniej nie wątpił. Gala wszakże oświadczyła, że Witia to bardzo rzeczowy i wartościowy chłopak, jej przyjaciółki zaś jak na złość uważały go za wartogłowa i faceta bez charakteru.

Kiedy Gala próbowała bronić swojego zdania, przyjaciółki zjadliwie przyznały, że Witia jest rzeczywiście dość przystojny, i zapytały Galę, czy się aby w nim nie podkochuje. Nie ona pierwsza, mówiły, nie ona ostatnia... I choć Gala gorąco protestowała przeciwko tym insynuacjom, przyjaciółki nie uwierzyły jej.

Ale właściwie trudno to nazwać jakimś wydarzeniem...

Przełożyła Irena Lewandowska

ZENNA HENDERSON PODKOMITET

Najpierw były czarne, lśniące statki, które siejąc dokoła strach, padały na obszerne lądowisko jak ziarno na rolę. Po nich, niby barwne metyle, lądowały powoli jaskrawokolorowe pojazdy, zawisając na chwilę nad ziemią, jakby się wahały.

— Cudowny widok! — westchnęła Serena, wychylając się z okna sali konferencyjnej. — Brakuje przy tym tylko muzyki.

— Chyba marsza pogrzebowego — powiedział Thorn — albo requiem. Mówiąc między nami, Rena, jestem pełen jak najgorszych myśli. Jeśli się nie dogadamy, całe to piekło rozpęta się od nowa. Czy wyobrażasz sobie jeszcze jeden taki rok jak ten ubiegły?

— Kiedy na pewno się dogadacie! — zaprotestowała żywo Serena. — Jeżeli w ogóle zgodzili się podjąć rozmowy, to znaczy, że im też zależy na spokoju.

— Na ich spokoju czy naszym? — spytał Thorn patrząc ponuro przez okno. — Obawiam się, że jesteśmy zbyt naiwni w całej tej sprawie. Wiele wody upłynęło od czasu, kiedy śpiewaliśmy: „Na wojenkę nie pójdę”... Straciliśmy czujność, niezbędną w stosunkach z obcymi. Skąd wiadomo na przykład, że to nie podstęp; może postanowili zgromadzić całe nasze dowództwo w jednym miejscu, a potem urządzić masakrę...

— Nigdy w życiu! — Serena przytuliła się do niego mocno, a Thorn objął ją czule. — Przecież nie mogliby pogwałcić...

— Nie mogliby? — Przycisnęła policzek do jej włosów. — Nie wiadomo. Po prostu nie wiadomo. Przecież właściwie nic o nich nie wiemy. Nie mamy zielonego pojęcia o ich zwyczajach, a tym bardziej o ich skali wartości. O tym, jak przyjmą naszą propozycję zaprzestania działań wojennych.

— Na pewno mają uczciwe zamiary. Inaczej nie braliby ze sobą rodzin. Mówiłeś, zdaje się, że te kolorowe statki są mieszkalne?

— Owszem, zaproponowali, żeby obie strony wzięły rodziny, ale to o niczym nie świadczy. Oni zabierają rodziny nawet na bitwę.

— Na bitwę?!

— Tak. Na czas działań grupują wszystkie statki mieszkalne poza zasięgiem ognia, ale co z tego, kiedy za każdym razem, jak uszkodzimy czy rozbijemy którąś z ich jednostek bojowych, co najmniej jeden pojazd mieszkalny wymyka się spod ich kontroli i ginie w przestrzeni albo wybuchu. A może to są po prostu przyczepy, uzależnione od jednostek liniowych pod względem napędu? — Bruzdy na zatroskanej twarzy Thorna pogłębiły się. — Oni nawet nie zdają sobie z tego sprawy, ale praktycznie zmusili nas do zawieszenia broni. Czyż możemy niszczyć ich flotę wojenną, skoro za każdym strąconym

czarnym statkiem spada jeden z tych bajecznie kolorowych pojazdów mieszkalnych — jakby człowiek obrywał płatki z kwiatu. A każdy taki płatek to życie kilku kobiet i dzieci.

Serena wzdrygnęła się i przyłgnęła mocniej do Thorn'a.

— Konferencja musi dać wyniki. Nie może być więcej wojny. Musicie się jakoś z nimi dogadać. Przecież jeżeli i my chcemy pokoju, i oni...

— Kiedy my nie wiemy, czego oni chcą — powiedział Thorn ponuro. — Najeźdźcy, agresorzy, przybysze z wrogich światów, tak zupełnie odmienni od nas — jakim cudem ma-my dojść do porozumienia?

W milczeniu opuścili salę konferencyjną, zwalniając zatrząsk w kłamce i zamykając za sobą drzwi.

— Mamo, popatrz, mur! — rączki pięcioletniego Splintera jak dwie brudne rozgwiadzy rozplaszczyły się na falistej zielonkawej powierzchni wysokiego na dziesięć stóp płotu z vi-tritonu, który wijąc się wśród drzew opadał wzdłuż łagodnego stoku pagórka.

— A skąd on się tu wziął? A po co? Dlaczego nie możemy się już bawić nad sadzawką ze złotymi rybkami?

Serena oparła rękę o mur.

— Ci ludzie, którzy przyjechali w tych ładnych kolorowych pojazdach, też muszą mieć trochę miejsca do spacerowania i zabawy. Dlatego saperzy zbudowali im ten mur.

— A dlaczego oni mi nie pozwalają bawić się w sadzawce? — brwi Splintera ściągnęły się groźnie.

— Oni nie wiedzą, że masz na to ochotę — odparła Serena.

— To ja im powiem — oświadczył Splinter i zadarł głowę do góry. — Hej, wy tam! — wrzasnął zaciskając pięści i aż sztywniejąc z wysiłku. — Hej! Słuchajcie, ja chcę się bawić nad sadzawką!

Serena roześmiała się.

— Cicho, Splinter! Nawet jeśli cię usłyszą, to i tak nie zrozumieją. Oni przyjechali z bardzo daleka i mówią innym językiem niż my.

— Ale może byśmy mogli się tam pobawić — powiedział Splinter smutno.

— Owszem — westchnęła Serena — mógłbyś się pobawić, gdyby nie było tego płotu. Nie wiemy, synku, co to są za ludzie. Czy oni by chcieli się z nami bawić. Czy byliby... grze-czni.

— A jak się możemy przekonać, skoro oni są za tą paskudną ścianą?

— Nie możemy, synku. Właśnie dlatego nie możemy.

Kiedy schodzili z boczem, Splinter cały czas wiódł rączką wzdłuż muru.

— A może oni są niedobrzy — powiedział na koniec. — Może są tacy źli, że saperzy musieli zrobić dla nich klatkę, taka duuuużą, duuuużą klatkę? — Sięgnął rączką, jak mógł naj-wyżej. — Czy oni mają ogony, mamo?

— Ogony — roześmiała się Serena — co ci przychodzi do głowy?

— Nie wiem. Bo oni przylecieli z daleka, daleeeeka. Ja bym też chciał mieć ogon — taki długi, zakręcony i kudłaty! — poruszył energicznie małą pupką.

— A po co ci ogon? — zapytała Serena.

— Przydałby mi się — odparł Splinter. — Do wspinania i... i żeby mi było ciepło w szyję! Dlaczego tu nie ma żadnych dzieci? — zapytał, kiedy znaleźli się na dole. — Z kim ja się będę bawił?

— Trudno mi to wytłumaczyć — zaczęła Serena siadając na wąskiej kładce przerzuco-nej przez koryto małego wyschniętego strumyka.

— No to nie tłumacz. Tylko mi powiedz.

— Posłuchaj: Linjeni przylecieli w dużych czarnych statkach, żeby porozmawiać z generałem Worshamem i kilkoma innymi generałami. A w tych okrągłych kolorowych pojazdach przywieźli swoje rodziny. Więc i nasi wzięli ze sobą swoje rodziny, ale tylko twój tata ma małe dziecko. Wszyscy inni są dorośli. Dlatego nie masz się z kim bawić. — Mój Boże, żeby to wszystko było rzeczywiście takie proste, pomyślała Serena, zmęczona ciągnącymi się od tygodni rozmowami i wyczekiwaniem.

— Aha — powiedział Splinter z namysłem — to znaczy, że po tamtej stronie muru są dzieci?

— Tak, z pewnością są małe Linjeni — odparła Serena. — Myślę, że możesz je nawet nazywać dziećmi.

Splinter zsunął się do łożyska potoku i położył na brzuchu. Przytknął policzek do piasku i zajrzał przez szparę, jaka powstała w miejscu, gdzie płot przecinał dolinkę.

— Nie widzę nikogo — powiedział zawiedziony.

W milczeniu ruszyli z powrotem pod górę i znów rączka Splintera podskakiwała na fali-stej powierzchni płotu.

— Mamo! — zagadnął mały, kiedy znaleźli się na dziedzińcu.

— Słucham, synku.

— Ten mur jest po to, żeby oni nie wychodzili, prawda?

— Tak — odparła Serena.

— A mnie się wydaje, że nie. Że po to, żeby mnie od nich odgradzić.

Serena przeżywała z Thornem ciężkie dni. Nocą leżała koło niego z szeroko otwartymi oczami i patrząc, jak się rzuca, jak nawet we śnie szuka wyjścia z trudnej sytuacji, nie przestała się modlić.

Z zaciśniętymi ustami sprzątała nie tknięte posiłki i tylko parzyła coraz więcej kawy. Dzieliła z nim wszystkie nadzieje, czepiała się każdego nowego pomysłu, a kiedy wracał z niczym, znów opuszczała ręce. Tymczasem robiła, co mogła, żeby Splinter nie odczuł tego w najmniejszym stopniu: w piękne słoneczne dni pozostawiała mu dość dużą swobodę w obrębie koszar, a wieczorami zajmowała się nim, na ile jej tylko pozwalał czas.

Pewnego dnia upinała właśnie włosy, kątem oka patrząc na kąpiącego się malca, który zgarniał pianę i rozsmarowywał ją sobie po policzkach i brodzie.

— Będę się musiał golić jak tata — mruzczał pod nosem. — Golić, golić, golić! — Zgarznął pianę palcem. Po chwili nabrał pełne garście mydlin i rozprowadził po całej buzi. — Jestem Doovie. Jestem cały kosmaty jak Doovie. Popatrz, mamo, jestem cały... — Otworzył oczy, żeby zobaczyć, czy Serena patrzy. Skończyło się to energiczną akcją ratunkową, która trwała przez najbliższe kilka minut. Kiedy łyzy obeschły, Serena zaczęła wycierać malca.

— A na pewno Doovie też by płakał, jakby mu się mydło dostało do oczu — powiedział Splinter pochlipując jeszcze. — Prawda, mamo?

— Doovie? — odparła Serena. — Możliwe. Każdy by płakał. A kto to jest Doovie?

Czuła, jak ciało Splintera sztywnieje na jej kolanach. Malec odwrócił się i zapatrzył gdzieś w przestrzeń.

— Mamusiu, jak myślisz, czy tata pobawi się ze mną jutro?

— Może... — złapała jedną z jego mokrych nówek. — Ale kto to jest Doovie?

— Mamusiu, czy może być dziś na kolację różowy budyń? Ja tak lubię różowy budyń...

— Kto to jest Doovie? — głos Sereny zabrzmiał stanowczo. Splinter przyglądał się badawczo paznokciowi swego kciuka, po czym spojrzął na nią spod oka.

— Doovie... — zaczął. — Doovie to jest taki mały chłopczyk.

— Aha, taki zmyślony! — powiedziała Serena.

— Nie — szepnął Splinter spuszczać głowę. — Prawdziwy. Linjeni. — Serena ze zdumienia zaniemówiła, a malec patrząc jej pokornie w oczy, zaczął mówić szybko: — On jest grzeczny ludź, mamó, bardzo grzeczny! Nie mówi brzydkich wyrazów, nie kłamie i nie odpowiada nieładnie swojej mamusi. I umie tak szybko biegać jak ja, a może nawet szybciej — jak ja się potknę. On, on... — Splinter spuścił oczy. — Ja go bardzo lubię... — broda zaczęła mu się trząść.

— Ale gdzie... to znaczy jak... przecież jest płot — Serena z przerażenia nie mogła znaleźć słów.

— Wykopałem dziurę — wyznał malec. — Pod płotem, tam gdzie jest piasek. Wcale mi niej zabraniałaś. Doovie przyszedł się ze mną pobawić. I jego mama też. Ona jest bardzo ładna. Ma różowe futerko. A Doovie jeszcze ładniejsze, zielone. Na całym cie! — Splinter ożywił się. — Tak, na całym cie. Nawet pod ubraniem. Wszystko ma kosmate, oprócz nosa, oczu, uszu i dłoni.

— Ale, Splinter, jak śmiałeś! Przecież mogło ci się coś stać. Oni mogli... — Serena przycisnęła go mocniej, żeby nie widział jej twarzy.

Uwolnił się z jej objęć.

— Doovie nikomu by nie zrobił krzywdy! Ale, wiesz co, mamó, on umie zamykać nos. Tak, mówię ci, umie zamykać nos i zwijać uszy! Ja bym też tak chciał. To by było fajnie. Ale za to ja jestem większy od niego i potrafię śpiewać — a on nie, aha! Tylko że on może gwi-zdać przez nos, a jak ja spróbuję, to mi się tylko dmucha. Doovie jest naprawdę fajowy.

Serena zupełnie nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Ubierając malca w piżamę czuła, jak ją przechodzą ciarki. Co robić? Zabronić Splinterowi przełazenia przez dziurę na tamtą stronę? Jak chronić go przed niebezpieczeństwem, które może mu grozić w każdej chwili? Co by na to wszystko powiedział Thorn? I czy mu w ogóle mówić? To by mogło wy-wołać incydent, który...

— Splinter, ile razy bawiłeś się z Doovie'em?

— Ile razy? — malec dumnie wypiął pierś pod czystą piżamką. — Zaraz muszę poli-czyć — powiedział poważnie i przekładając paluszki zaczął mrużyć pod nosem. — Cztery razy! — Wykrzyknął z triumfem. — Raz, dwa, trzy, cztery, tak, cztery razy!

— A nie bałeś się?

— Nie — powiedział i dodał szybko: — Może ciut ciut za pierwszym razem. Myślałem, że mają ogony, żeby łapać ludzi za szyję i dusić. Ale nie mają — rzekł zawiedziony. — Tylko ubranie tak jak my, a pod spodem futro.

— Mówiłeś, że widziałeś jego mamę, tak?

— No pewnie. Ona tam była, jak poszedłem do nich pierwszy raz. I wygnała wszystkich, bo się na mnie gapili, wszystkich dorosłych. Bo tam nie ma żadnych dzieciaków oprócz Doovie'ego. Pchali się i chcieli mnie dotknąć, ale ona im powiedziała, żeby sobie po-szli. I została tylko ona i Doovie.

— Och, Splinter! — wykrzyknęła Serena. Wyobrazila sobie swojego malca otoczonego przez tłoczących się Linjeni, którzy usiłują go dotknąć.

— Co się stało, mamó? — zdziwił się mały.

— Nic, kochanie. — Zwilżyła wargi. — Czy mogłabym następnym razem iść z tobą? Chciałabym zobaczyć się z mamą Doovie'ego.

— No pewnie! — wykrzyknął Splinter. — Chodźmy już teraz!

— Nie, teraz nie — odparła Serena, czując, jak pod wpływem ustępującego napięcia robią jej się miękkie nogi. — Teraz jest już za późno. Pójdziemy do nich jutro.

Ale, wiesz co, synku, na razie nie mówmy o tym tatusiowi. Niech to będzie dla niego niespodzianka.

— Dobrze, to fajna niespodzianka — powiedział Splinter. — Tyś się też nie spodziewała, prawda?

— Prawda, zupełnie się nie spodziewałam.

Nazajutrz Splinter kucnął przy dziurze i dokładnie się jej przyjrzał.

— Trochę mała — oznajmił. — Żebyś się tylko zmieściła.

Serena, mimo że miała duszę na ramieniu, roześmiała się.

— To nawet nie bardzo wypada. Iść z wizytą i utknąć w drzwiach.

Splinter zachichotał.

— Ale by było śmiesznie. Chodź, może znajdziemy dla ciebie prawdziwe drzwi.

— Nie trzeba — zaprotestowała spiesznie. — Możemy te powiększyć.

— Dobra. Pójdę do Doovie'ego, to pomoże mi kopać.

— Zgoda — przystała ze ściśniętym gardłem. Boi się dziecka — szydziła sama z siebie. Boi się Linjeni, agresora, najeźdźcy — usiłowała się bronić.

Splinter rozpląszczył się na ziemi i przeczołgał na drugą stronę.

— Zacznij kopać, a ja zaraz wracam! — krzyknął.

Serena uklękła i zaczęła pogłębiać otwór. Sypki piasek ustępował tak łatwo, że złączyła łukowato wygięte ramiona i jęła go wygarniać.

Nagle usłyszała krzyk Splintera.

Na sekundę znieruchomiła jak porażona. Krzyk powtórzył się, tym razem znacznie bliżej. Zaczęła kopać w gorączkowym pośpiechu. Przeciskając się przez dziurę czuła piasek za dekoltem, czuła ból zdartej o krawędź płotu skóry na plecach. Zobaczyła malca biegnącego ze szlochem w jej stronę.

— Doovie! Doovie się topi! Jest w sadzawce! Cały pod wodą! Nie mogę go wydostać! Mamo, maaamo

Serena złapała go za rękę i potykając się pociągnęła w stronę sadzawki. Przechyliła się przez niski murek; w kłębiącej się kipieli mignęło jej zielone futerko i szeroko otwarte oczy. Odsunęła szybko Splintera, głęboko zaczerpnęła tchu i skoczyła do wody. Poczowała zimne ukłucie; sięgnęła w gęstym mroku ręką, ale bijące na oślep ręce i nogi Doovie'ego co chwila jej się wyślizgiwały.

Wreszcie, zachłystując się i wykastując wodę, przesadziła przez murek wierzgającego malca. Splinter złapał go za rękę i szarpnął, zaś Serena wygramoliwszy się na krawędź obmu-rówki, wyczerpana runęła na Doovie'ego. W tym samym momencie dał się słyszeć dźwięk wyższy i bardziej przenikliwy niż krzyk Splintera. Serena gwałtownym ruchem została odsunięta, a Doovie znalazł się w różowych ramionach swojej matki. Serena odgarnęła ociekające wodą włosy i napotkała wrogie spojrzenie różowych oczu.

Jednym sussem dopadła Splintera i przytuliła go mocno do siebie nie spuszczając Linjeni z oka. Różowa matka obmacała dokładnie swoje zielone dziecko i Serena pomyślała z dziwnym dystansem: Splinter nic nie mówił, że Doovie ma oczy pod kolor sierści i że jest płetwonogi.

Płetwonogi! Zaczęła się śmiać niemal histerycznie. Mój Boże! Nic dziwnego, że jego matka tak się wystraszyła.

— Czy rozmawiacie jakoś z Doovie'em? — zapytała pochlipującego Splintera.

— Nie! — wyszłochał. — Mówienie jest niepotrzebne do zabawy.

— Przestań płakać, synku, i pomóż mi. Musimy coś poradzić. Mama Doovie'ego myśli, że chcieliśmy go skrzywdzić. On by się nie utopił. Pamiętaj, że on potrafi zamykać nos i zwi-jać uszy. Jak wytłumaczyć jego mamusi, że nie chcieliśmy mu zrobić nic złego?

— Możemy... — Splinter w zakłopotaniu pocierał rączką policzek. — Możemy go ukochać.

— To nie wystarczy — odparła z lękiem patrząc na wychodzące z zarośli i zbliżające się ku nim kolorowe istoty. — Pewnie nawet nie pozwoli nam go dotknąć.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie uciekać, ale odetchnąwszy głęboko opanowała strach.

— Chodź, Splinter, pokażemy im na migi — powiedziała — że myśleliśmy, że Doovie się topi. Ty na niby wpadniesz do sadzawki, a ja cię wyciągnę. Udawaj topielca, a ja będę płakała.

— Ty już płaczesz, mamó — powiedział Splinter, robiąc podkówkę.

— Ja ćwiczę — odparła starając się nadać głosowi spokojne brzmienie. — Chodź, spróbujemy.

Splinter zawahał się na brzegu sadzawki, wyraźnie stroniąc od wody, która tak go za-wsze fascynowała. Serena krzyknęła nagle i malec stracił z przerażenia równowagę. Błyskawicznie niemal, zanim zdążył się na dobre zanurzyć, schwyciła go i wyciągnęła, starając się nadać zarówno swoim słowom, jak i ruchom pozory rozpaczy.

— Masz być nieżywy — szepnęła do malca. — Masz być zupełnie nieżywy! Jak topie-lec! — Splinter zrobił się tak bezwładny w jej ramionach, że rozpacz Sereny była niemal szczerą. Pochyliła się nad nieruchomym ciałkiem i kiwając się w tył i w przód wydawała okrzyki bólu.

Nagle poczuła na ramieniu dotyk i spojrzała w kolorowe oczy Linjeni. Matka Doovie'ego uśmiechnęła się, ukazując białe zęby i różową, kosmatą ręką poklepała Splintera po ramieniu. Malec otworzył oczy i usiadł. Doovie zerknął zza matki i już po chwili tarzali się i koziołkowali radośnie między dwiema spoglądającymi z nieufnością kobietami. Serena roze-śmiała się niepewnie, a matka Doovie'ego zagwizdała przez nos.

Tej nocy Thorn obudził Serenę krzycząc przez sen. Długo leżała w ciemności, modląc się, po czym wstała i poszła zajrzeć do Splintera. Uklękła i otworzyła najniższą szufladę jego szafki. Przesunęła dłonią po lśniących fałdach materiału, którym okryła ją matka Doovie'ego, kiedy jej ubranie schło. Serena dała jej w zamian swoją koronkową halkę. Czuła pod palcami wypukłą fakturę tkaniny i wspominała, jak pięknie wyglądała ona w promieniach zachodzą-cego słońca. Zaraz jednak słońce znikło; przed oczyma Sereny pojawił się rozbity czarny statek i ginący w żarze pojazd mieszkalny, a w nim zwęglone futerka — różowe, zielone i żółte, i te piękne tkaniny stopione w płomieniach niszczycielskiego ognia. Oparła głowę na ręce i wzdrygnęła się.

Nagle obraz się zmienił: teraz ujrzała, jak srebrzysty stateczek czernieje i jak wchłania go bezmiar przestrzeni. Krzyk osieroconego Splintera zabrzmiał w jej uszach tak żywo, że spieszenie zasunęła szufladę. Spojrzała na twarzyczkę spokojnie śpiącego chłopca i na wszelki wypadek otuliła go czule.

Kiedy wróciła, Thorn leżał na wznak, z szeroko otwartymi oczyma, z rękami pod głó-wą.

— Nie śpisz? — zapytała siadając na brzegu łóżka.

— Nie — jego głos był napięty jak struna. — Tkwimy w miejscu. Zostawiamy sobie nawzajem furtki, ale żadna ze stron z nich nie korzysta. Chcemy pokoju, ale nie potrafimy się z nimi porozumieć. Oni też czegoś chcą, ale nie mówią nam, o co im chodzi, jakby się bali, że w ten sposób zdadzą się na naszą łaskę i niełaskę. Jedno jest pewne: nie przystaną na pokój, dopóki nie dopną swego. Do czego to wszystko prowadzi?

— A gdyby oni sobie poszli... — Serena wyciągnęła stopy na łóżko i trzymała się rękami za szczupłe kostki.

— To jest właśnie jedyna rzecz — powiedział Thorn gorzko — którą udało nam się

ustalić: że oni sobie nie pójdą. Mają zamiar tu zostać — czy nam się to podoba, czy nie.

— Thorn — głos Sereny zabrzmiał energicznie w mrocznej ciszy. — A dlaczego nie przyjąć ich serdecznie? Dlaczego nie powiedzieć po prostu: „Witajcie nam”! Przybyli z daleka. Dlaczego nie mielibyśmy okazać im gościnności?

— Mówisz tak, jakby to „daleko” to był sąsiedni powiat czy stan. — Thorn zniecierpliwiony rzucał się na łóżku.

— Widzę, że wracamy do starej absurdalnej zasady: obcy równa się wróg — powiedziała Serena ostro. — Czy nie możemy założyć, że przybywają w przyjaznych zamiarach? Idź do nich, porozmawiaj z nimi tak normalnie.

— W przyjaznych zamiarach! Idź, porozmawiaj z nimi! — Thorn usiadł gwałtownie w skotłowanej pościeli, ze złości ledwie mogąc dobyć głos. Po chwili podjął z nie wróżącym nic dobrego spokojem. — A może ty byś się wybrała porozmawiać z wdowami po naszych ludziach, którzy poszli porozmawiać z dobrymi Linjeni? Po tych postrąconych bez ostrzeżenia.

— Myśmy też stracali ich statki — Rena nie podnosiła głosu, ale mówiła bardzo stano-wczo. — I tak samo bez ostrzeżenia. A kto pierwszy zaczął strzelać? Sam musisz przyznać, że nie wiadomo na pewno.

Zaległa pełna napięcia cisza. Thorn odwrócił się tyłem do żony i zamilkł.

— Czy ja po tym wszystkim będę mogła mu kiedykolwiek powiedzieć? — mruknęła w poduszkę. — On by nie przeżył tej dziury pod płotem.

Codziennie chodziła z małym odwiedzać nowych przyjaciół, a dziura powiększała się systematycznie.

Matka Doovie'ego, którą Splinter nazywał panią Pink *, uczyła Serenę haftu na pięknych tkaninach Linjeni, jak ta, którą dała jej w prezencie, w zamian za co Serena uczyła ją robienia na drutach. A w każdym razie zaczęła uczyć. Zdążyła pokazać jej lewe i prawe oczka, dodawanie i spuszczenie, kiedy pani Pink wyjęła jej robótkę z rąk, wprawiając ją w zdumienie zręcznością kosmatych palców. Jak mogła ją posądzić o to, że nie umie robić na drutach — zawstydziała się na samą myśl o tym. Ale przecież inni Linjeni zebrali się dokoła nich i dotykali robótki, wykrzykując łagodnymi, przypominającymi dźwięk fletu głosami, jak gdyby nigdy czegoś podobnego nie widzieli. Niewielki kłębuszek wełny, który Serena wzięła ze sobą, skończył się wkrótce i pani Pink przyniosła motki ciężkiej przędzy, tej samej, która po rozdzieleniu nici służyła jej do haftu, i zerknąwszy do książki Sereny z wzorami, zaczęła robić na drutach z pięknej lśniącej włóczki.

Wkrótce gesty, uśmiechy i gwizdy przestały im wystarczać i Serena postarała się o nieliczne i dostępne taśmy z nagranyimi słowami Linjeni, których nauczyła się na pamięć. Nie na wiele się to jednak zdało, słownik ten bowiem nie był przystosowany do tematów, jakie

* Pink (ang.) — różowy.

chciała poruszyć z panią Pink i jej ziomkami. Nadszedł wreszcie dzień, w którym częściowo powiedziała, a częściowo wygwizdała swoje pierwsze zdanie w języku Linjeni, w odpowiedzi na co pani Pink wydukała coś po angielsku. Było przy tym dużo śmiechu, gwizdów, zgadywania i pokazywania na migi. I tak stopniowo ponad przepaścią niezrozumienia został prze-rzucony most.

Ale pod koniec tygodnia Serena zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia. Ona i Splinter tak się świetnie bawią, a biedny Thorn z każdego posiedzenia wraca coraz bardziej zatroskany.

— Oni są niemożliwi — powiedział pewnego wieczora z goryczą. — Nie możemy z nich wyciągnąć nic konkretnego.

— Ale o co im właściwie chodzi? — zapytała Serena. — Nie powiedzieli wam jeszcze?

— Szkoda tylko słów — Thorn zapadł w fotel głęboko. — Na co się to wszystko zda? I tak nic z tego nie wyjdzie.

— Thorn, dlaczego tak mówisz! Przecież to są rozumne ludzkie... — urwała widząc jego zdumiony wzrok. — Jak to... nie... są... — zająknęła się — nie są ludzkimi istotami?

— Ludzkimi? Niekomunikatywni, obcy, po prostu wrogowie — odparł. — Żeby nam język kołkiem stanął, to oni tylko będą do siebie pogwizdywać i powiedzą tak lub nie. Nic więcej.

— A czy oni rozumieją... — zaczęła Serena.

— Są przecież tłumacze. Może nie najlepsi, ale innych nie mamy.

— No dobrze, ale o co im chodzi?

Thorn zaśmiał się krótko.

— O ile zdołaliśmy ustalić, chcą naszych oceanów i przylegających do nich lądów.

— Och, Thorn, to niemożliwe, żeby byli aż tak nierozsądni!

— Jeśli mam być szczery, to nie jesteśmy całkiem pewni, czy właśnie o to im chodzi. Wracają ciągle do sprawy oceanów, ale jak ich próbujemy przyprzeć do muru i pytamy wręcz, czy chcą naszych wód, gwizdzą odmownie. Po prostu nie sposób się z nimi porozumieć. — Thorn westchnął ciężko. — Nie znasz ich tak dobrze, jak my, Rena.

— Nie, rzeczywiście — odparła nieszczęsna kobieta — rzeczywiście nie tak jak wy.

Nazajutrz, pełna niepokoju, wzięła Splintera, koszyk z jedzeniem i ruszyła w stronę tajemniczego przejścia. Wczoraj pani Pink częstowała ich obiadem, dziś była jej kolej. Sie-dzieli razem na trawie i Serena tłumiąc niepokój, śmiała się życzliwie z pani Pink, próbującej po raz pierwszy w życiu oliwki. Nie lepiej wyglądała sama, kiedy ugryzłszy pirwit, bała się go połknąć, a wstydziła wypluć.

Splinter i Doovie dobrali się do cytrynowego placeka z bezą.

— Splinter, zostaw ten placek — powiedziała Serena. — To jest na deser.

— My tylko spróbujemy to białe — odparł malec, na którego wardze pozostał jeszcze kawałek bezy.

— Dobrze, ale wstrzymajcie się z tym próbowaniem. Weźcie na razie jajka. Jestem pewna, że Doovie jajek też nie jadł.

Splinter zaczął grzebać w koszyku, z którego Serena wyjęła dużą turystyczną solniczkę.

— O, są, mamó, są! — wykrzyknął. — Popatrz, Doovie, najpierw musisz rozbić skorupkę...

Serena zaczęła wprowadzać panią Pink w tajniki gotowania jajek na twardo i wszystko było proste i jasne, dopóki ich nie posoliła. Pani Pink nastawiła dłoń i Serena wysypała jej trochę soli na spróbowanie.

Linjeni wydała niski gwizd na znak zdumienia i sięgnęła skwapliwie po solniczkę, którą podała jej ubawiona Serena. Pani Pink nasypała sobie jeszcze soli na dłoń i zajrzała przez dziurki do środka. Serena odkręciła zakrętkę i pokazała jej zawartość solniczki.

Przez chwilę pani Pink patrzyła na białe ziarenka, po czym zagwizdała gwałtownie. Serena cofnęła się, zaskoczona. Niemal z każdego krzaka zaczęli wysypać się Linjeni. Stłoczyli się dokoła pani Pink, zaglądając do solniczki, popychając się, pogwizdując z cicha. Jeden z nich zniknął i wrócił po chwili z wysokim dzbankiem wody. Pani Pink powoli, ostro-żnie strząsnęła nad naczyniem z dłoni sól, a następnie opróżniła solniczkę. Zamieszała wodę gałązką, którą ktoś ułamał z krzaka. Kiedy już roztwór był gotowy, wszyscy Linjeni nadstawili garście. Każdemu z nich nalała — z takim namaszczeniem,

jakby to był sakrament — słonej wody. Szybko, żeby nie uronić ani kropli, podnieśli ręce do twarzy i zaczęli wdychać — głęboko — drogocenną ciecz.

Ostatnia pani Pink uniosła do góry mokrą twarz, na której malowała się taka wdzięczność, że Serena wzruszyła się niemal do łez. Linjeni zaczęli się do niej przepychać przykła-dając jej do policzka puszyste palce. Był to gest podziękowania, którego właśnie nauczył się Splinter.

Wreszcie poznikali wśród krzaków; została tylko pani Pink, która siedziała, obracając w dłoni solniczkę.

— Sól — powiedziała Serena wskazując naczynie.

— Shreerprill — powiedziała pani Pink.

— Shreerprill? — powtórzyła z trudem Serena, w której ustach słowo straciło całą swoją śpiewność. Pani Pink skinęła głową.

— Shreerprill dobra? — spytała Serena, usiłując pojąć znaczenie dziwnej sceny.

— Shreerprill dobra — odrzekła pani Pink. — Nie ma shreerprill — nie ma dzieci Linje-ni. Doovie... Doovie... — nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. — Jeden Doovie — nie ma dzieci. — Potrząsnęła bezradnie głową.

Serena, domyślając się, o co chodzi pani Pink, próbowała jej pomóc. Wyrwała garść trawy.

— Trawa — powiedziała. — Wyrwała jeszcze jedną garść. — Więcej trawy. Więcej. Więcej. — Składała żdzbla na kupkę.

Pani Pink spoglądała to na trawę, to na Serenę.

— Nie ma więcej dzieci Linjeni. Doovie... — podzieliła trawę na małe wiązki. — Dziecko, dziecko, dziecko — wskazywała po kolei palcem. Przy ostatniej zatrzymała się dłużej, spoglądając czule. — Doovie.

— Rozumiem. Doovie jest ostatnim dzieckiem Linjeni? Więcej nie ma?

Pani Pink zastanawiała się nad sensem jej słów i kiwnęła głową.

— Tak, tak! Więcej nie ma. Nie ma shreerprill, i nie ma dziecka!

Serena zaniemówiła na chwilę. A może... może o to jest cała ta wojna? Może oni chcą po prostu soli? Może...

— Sól, shreerprill — powiedziała. — Więcej, więcej, więcej shreerprill — Linjeni do domu?

— Więcej, więcej, więcej shreerprill — tak — odparła pani Pink. — Do domu — nie. Dom — niedobry. Nie ma wody, nie ma shreerprill.

— Aha. — Po chwili Serena dodała z namysłem: — Więcej Linjeni? Więcej, więcej, więcej?

Pani Pink popatrzyła na nią i w ciszy, jaka zapadła, zdały sobie nagle sprawę, że należą do wrogich obozów. Serena usiłowała się uśmiechnąć. Pani Pink popatrzyła na Splintera i Do-ovie'ego, którzy uszczęśliwieni próbowali po kolei wszystkiego z koszyka, i powiedziała z wyraźnym odprężeniem:

— Nie ma więcej Linjeni — wskazała gestem zatłoczone lądowisko — Linjeni — rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. — Nie ma więcej Linjeni.

Serena siedziała oszołomiona. Zastanawiała się, jakby przyjęło tę wiadomość Naczelne Dowództwo Ziemskich Sił Zbrojnych. Nie ma więcej Linjeni, z ich potworną niszczycielską bronią. Nie ma więcej poza tymi, którzy tu wylądowali. Nie istnieje żaden wrogi świat, gotów wysłać posiłki, gdyby te statki zostały zniszczone. Nie ma więcej Linjeni. Nie pozostaje nic innego, jak zniszczyć te jednostki — ponosząc oczywiście przy tym nieuniknione straty — i wygrać wojnę, a tym samym zetrzeć gatunek Linjeni z powierzchni Ziemi.

Ale przecież oni przyszli prosić o gościnę. A może żądać? Sąsiedzi, którzy bali się

poprosić — czy też nie dano im po prostu okazji? Jak doszło do wojny? Kto pierwszy zaczął strzelać? Czy ktoś w ogóle potrafi na to odpowiedzieć?

Serena wzięła pusty koszyk i pełna wątpliwości ruszyła do domu. Powiedz, powiedz, powiedz — słyhać było w szumie traw. Powiedz i wojna się skończy. Ale jak? — wykrzyknęła sama do siebie. — Mamy ich zniszczyć czy przygarnąć? Jedno czy drugie?

Zabić, zabić, zabić — szurały jej nogi po zwirowanej ścieżce. Zabić wrogów — nie ma wspólnej ziemi — to nie ludzie — za naszych poległych.

A ich polegli? A ich postrącane i popalone statki? A oni — bezdomni, wydziedziczeni, bezdziejni?

Serena zajęła Splintera jakąś łamigłówką i książeczką z obrazkami, a sama poszła do sypialni. Usiadła na łóżku i zaczęła przyglądać się sobie w lustrze.

Dać im słoń w wodę — no dobrze, ale wtedy zaczną się mnożyć. Choćby wszystkie na-sze oceany, nawet jeśli się na to krzywią. Zaczną się mnożyć, aż nas zupełnie wyprą, zgnębią, podbiją.

A ci nasi mężczyźni — spotykają się od tygodnia z górą i nie mogą dojść do porozumienia. Pewnie, że nie mogą! Boją się zdradzić jedni przed drugimi i w rezultacie nic o sobie nie wiedzą. Nic naprawdę istotnego. Jestem pewna, że żaden z naszych mężczyzn nie ma pojęcia o tym, że Linjeni potrafią zamykać nozdrza i zwijać uszy. A tamci z kolei nie wiedzą, że my posypujemy jedzenie tym, co stanowi źródło ich życia.

Serena nie umiała powiedzieć, ile czasu tak przesiedziała. W końcu znalazł ją Splin-ter, który zaczął się dopominać o kolację. Zapędziła malca do łóżka. Wreszcie, kiedy już szalała z rozterki, przyszedł Thorn.

— No — powiedział padając zmęczony na fotel. — To już prawie koniec.

— Koniec! — wykrzyknęła Serena, z nadzieją w oczach. — Więc osiągnęliście...

— Impas, zastój — mruknął ponuro. — Jutro jest ostatnie spotkanie. Jeszcze po jednym „nie” z obu stron i koniec. Znów się zacznie rozlew krwi.

— Och, nie, Thorn! — zatkała usta pięścią. — Nie możemy ich więcej zabijać. To jest nieludzkie! To jest...

— To jest samoobrona — dokończył z rozdrażnieniem Thorn. — Proszę cię, tylko nie dziś, Rena. Oszczędź mi dziś tych idealistycznych bzdur. I tak wystarczająco brak nam do-świadczenia w prowadzeniu negocjacji, żebyśmy się jeszcze mieli narażać na zarzut, że jeste-śmy zbyt łagodni dla naszych wrogów. To jest wojna i musimy ją wygrać. Wystarczy trochę im ustąpić, a obsiadą Ziemię jak muchy.

— Ależ nie, nie! — wyszeptwała Serena, której pocięły po policzkach łzy. — Nie obsią-dą, nie, mówię ci, że nie!

Thorn zasnął mocno, a ona długo jeszcze leżała wpatrzona w niewidoczny sufit. Jasno, wyraźnie formułowała w ciemności swoje myśli.

Powiem — wojna się skończy.

Albo podamy Linjeni rękę, albo zetrzemy ich z powierzchni Ziemi.

Nie powiem. Rozmowy zostaną zerwane. Wojna rozpocznie się na nowo.

Poniesiemy poważne straty — Linjeni wyginą.

Pani Pink mi zawierzyła.

Splinter kocha Doovie'ego. Doovie kocha Splintera.

Nikły płomyk modlitwy, który o mało nie zgasł wśród tych zmagania, zapłonął jaśniej i Serena usnęła.

Nazajutrz rano posłała Splintera do Doovie'ego.

— Bądźcie koło sadzawki — powiedziała. — Ja tam niedługo do was przyjdę.

— Dobrze, mamu — odparł malec. — A przyniesiesz trochę ciasta? — dodał nieśmiało. — Doovie jeszcze nigdy nie jadł.

Serena roześmiała się.

— Za to jeden mały Splinter zjadł bardzo dużo. No, biegaj, łakomczuchu. — I klapsem w pupę nadała mu kierunek.

— Pa, mamusiu! — krzyknął malec na odchodnym.

— Pa, kochanie, bądź grzeczny!

— Dobra!

Patrzyła za nim, aż skrył go stok pagórka; poprawiła włosy i zwilżyła językiem suche wargi. Ruszyła w stronę sypialni, ale zmieniła nagle zamiar i skierowała się do drzwi wyjścio-wych. Gdyby musiała teraz spojrzeć choćby sobie w oczy w lustrze, załamałaby się i cofnęła. Stała z ręką na klamce, wpatrzona w tarczę zegara. Odczekała nieskończenie długie piętnaście minut i kiedy już była pewna, że Splinter dotarł na miejsce, nacisnęła klamkę.

Uśmiechem uitorowała sobie drogę z koszar do Budynku Administracyjnego. Zdecydo-wanie, energicznym krokiem udała się do skrzydła konferencyjnego i tu — opuściła ją odwa-ga. Schowała się przed strażnikami, ze zdenerwowania niemal wyłamując sobie palec. Wre-szczie wygładziła spódnicę, poprawiła włosy i z trudem zdobywając się na uśmiech, weszła na palcach do hallu.

Pod wpływem badawczego wzroku strażników poczuła się jak motyl przypięty szpilką do ściany. Kładąc palec na ustach nakazała im ciszę i zbliżyła się do nich bezszelestnie.

— Jak się macie, Turner, Franiveri — szepnęła.

Strażnicy wymienili spojrzenia i Turner powiedział szorstko:

— Tutaj jest wstęp wzbroniony, proszę pani, Proszę stąd wyjść.

— Ja wiem — powiedziała z pokorną miną, której wcale nie musiała specjalnie robić. — Ale, Turner, ja muszę zobaczyć Linjeni. — Ruszyła spieszenie, zanim zdążył otworzyć usta. — Widziałam ich na obrazkach, ale nigdy nie udało mi się ich zobaczyć żywych. Ja tylko zajrzę na moment. — Przemknęła się bliżej drzwi. — O, nawet drzwi są trochę uchylo-ne! — zawołała cicho.

— Takie mamy polecenie — warknął Turner. — Ale, proszę pani, nam nie wolno...

— Tylko raz zerknę — błagała Serena wkładając palec w szparę. — Nic nie będzie słychać.

Otworzyła drzwi trochę szerzej i wsadziła rękę szukając guziczka.

— Ale stąd i tak ich pani nie zobaczy.

Błyskawicznie wdarła się do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z hukiem, który ode-zwał się echem w całym budynku jak grzmot. Bez tchu, przerażona, minęła poczekalnię i wbiegła do sali konferencyjnej. Nagle znieruchomiła, z rękami zaciśniętymi na oparciu krze-sła. Wszystkie oczy skierowane były na nią. Thorn, którego ledwie mogła poznać — tak ofi-cjalną i marsową miał minę — poderwał się gwałtownie z miejsca.

— Serena! — powiedział łamiącym się głosem, po czym równie nagle usiadł.

Serena okrążyła stół, omijając wzrok natarczywie w siebie wpatrzonych oczu — niebie-skich, brązowych, czarnych, żółtych, zielonych, lawendowych. U szczytu stołu zatrzymała się, odwróciła i z lękiem spojrzała na jego błyszczącą powierzchnię.

— Panowie — prawie jej nie było słychać. — Panowie — odchrząknęła. Widziała, że generał Worsham zamierza coś powiedzieć. Jego twarz, której okoliczności nadały wyraz szczególnej powagi, zrobiła na niej wrażenie nieprzyjemnie obcej. Położyła dłonie

na gładkim blacie stołu. — Macie zamiar się rozejść, dać za wygraną, tak? — Tłumacze pochylili się do mikrofonów i w miarę, jak mówiła, ich wargi zaczęły się poruszać. — O czym radziliście cały ten czas? O broni? O bitwach? O stratach w ludziach? Jak wy nam to, to my wam tamto? Nie wiem! — wykrzyknęła z mocą, potrząsając głową, jakby drżała. — Nie wiem, o czym się mówi na konferencjach na wysokim szczeblu. Wiem tylko jedno: że uczyłam panią Pink robić na drutach i jeść placek cytrynowy... — Widziała, jak zaskoczeni tłumacze szybko kartkują słowniki. — I już wiem, dlaczego Linjeni są tutaj i po co przyszli. — Ściągając usta wygwizdała w łamanym języku Linjeni: — Doovie — dziecko. Nie ma więcej dzieci Linjeni.

Na dźwięk imienia Doovie jeden z Linjeni podniósł się powoli; jego lawendowa postać górowała nad stołem. Serena widziała, jak tłumacze znów zaczynają gorączkowo przewracać strony. Widziała, że szukają słowa „dziecko” w języku Linjeni. W rozmowach tego typu rzadko bywało ono używane.

Linjeni mówił wolno, ale Serena potrząsnęła głową.

— Za mało znam wasz język.

Nagle koło swego ramienia usłyszała szept:

— Co pani wie o Doovie'em? — Wręczono jej parę słuchawek. Umocowała je sobie na głowie drżącymi palcami. Dlaczego pozwalają jej mówić? Dlaczego generał Worsham siedzi spokojnie i pozwala jej przeszkadzać w konferencji?

— Znam Doovie'ego — powiedziała niemal bez tchu. — I znam jego matkę. Doovie bawi się ze Splinterem, moim synkiem, moim małym synkiem. — Wykręcała sobie palce ze zdenerwowania. Dał się słyszeć pomruk i Serena spuściła głowę. Znów zaczął mówić Linjeni i w słuchawkach zabrzęczało metalicznie.

— Jaki jest kolor matki Doovie'ego?

— Różowy — odparła.

Znów gorączkowe poszukiwania słowa. Różowy... różowy... Wreszcie Serena odchyliła brzeg spódnicy i pokazała rąbek blad różowej halki. Linjeni usiadł kiwając głową.

— Serena — odezwał się generał Worsham tak spokojnie, jakby to było spotkanie towarzyskie. — O co ci właściwie chodzi?

Zamrugnęła oczami i podniosła głowę.

— Thorn powiedział, że dziś spotkacie się po raz ostatni. Że z obu stron ma paść słowo „nie”. Że nigdy nie dojdziecie do porozumienia w żadnej sprawie.

— A ty uważasz, że jest inaczej? — generał Worsham grzecznie przerwał Serenie jasne i dosłowne sformułowanie tego, co tak długo i starannie ukrywano.

— Wiem, że jest inaczej. Istnieje między nami znacznie więcej podobieństw niż różnic i uważam, że nie ma najmniejszego sensu siedzieć i tygodniami wytykać sobie nawzajem te różnice, nie starając się nawet dostrzec podobieństw. W zasadzie jesteśmy... zawahała się — jesteśmy równi wobec Boga. — Wiedziała, że tłumacze nie znajdą w swoich słownikach słowa „Bóg”. — Uważam, że powinniśmy ich przyjąć chlebem i solą. — Uśmiechnęła się lekko i dodała na koniec. — Oni nazywają sól shreeprill.

Wśród Linjeni rozległy się przytłumione gwizdy, na co lawendowy Linjeni uniósł się z miejsca i nakazał im ciszę.

Generał Worsham spojrział w skupieniu na Linjeni i sznurując usta powiedział:

— Są jednak pewne rozbieżności...

— Rozbieżności! — wykrzyknęła Serena z pogardą. — Nie ma takich rozbieżności, których nie dałoby się usunąć, jeśli dwa narody znają się dobrze nawzajem.

Powiodła wzrokiem dokoła stołu, z wyraźną ulgą stwierdzając, że twarz Thorn

złago-dniała.

— Chodźcie ze mną — zaprosiła zebranych. — Chodźcie i popatrzcie na Doovie'ego i Splintera razem — dziecko Linjeni i nasze, które nie znają jeszcze, co to podejrzliwość, strach, nienawiść i uprzedzenie. Ogłóście przerwę czy rozejm, czy jak to się tam nazywa, i chodźcie ze mną. A jak zobaczycie dzieci i panią Pink, i porozmawiamy o tym wszystkim jak w rodzinie, a mimo to uznacie, że trzeba walczyć, cóż... — bezradnie rozłożyła ręce.

Kiedy schodzili zboczem pagórka, nogi trzęsły się pod nią tak, że Thorn musiał ją pod-trzymywać.

— Och, Thorn — wyszeptała niemal ze łzami — nie wierzyłam, że zechcą przyjść. Myślałam, że mnie zabiją, zamkną albo...

— Nie chcemy wojny, przecież ci mówiłem — mruknął. — Czepiamy się każdej szansa, nawet w postaci dość bezczelnych panius, które potrafią wtargnąć na bardzo ważną konferencję i prezentować tam wszem i wobec swoje halki. — Thorn spoważniał. — Jak długo to już trwa?

— Jeśli chodzi o Splintera, od kilku tygodni, ja odkryłam to trochę więcej niż tydzień temu.

— Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

— Zaczynałam... dwa razy. Nie chciałaś mnie słuchać. A ja ze strachu nie nalegałam. Wiedziałam, jak to przyjmiesz.

Thorn milczał, odezwał się dopiero, jak byli na dole.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Na jakiej podstawie przypuszczasz, że potrafisz rozwiązać...

Serena stłumiła histeryczny śmiech.

— Wzięłam kiedyś na piknik jajka na twardo!

Zatrzymali się przed płotem. Wszyscy patrzyli na podkop jak zahipnotyzowani.

— To Splinter wpadł na ten pomysł — broniła się słabo. — Ja tylko powiększyłam dziurę. Musicie się spłaszczyć, jak tylko możecie.

Przezołgała się pod płotem pierwsza. Przysiadła po drugiej stronie w kucki i czekała. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem usłyszała szuranie i stękanie. Ledwie mogła się powstrzymać od śmiechu na widok generała Worshama, który utykając co chwila w dziurze pełzał na brzuchu. Jej rozbawienie jednak ustąpiło podziwowi. Generał Worsham, gramolący się niezdarnie, zakurzony od stóp do głów, nie stracił nic ze swojej godności i Serena była szczęśliwa, że w dniach kryzysu on właśnie reprezentował interesy Ziemi.

Jeden po drugim, łącznie z Linjeni, precyzyjnie się wszyscy. Thorn był ostatni. Nakazując gestem ciszę Serena poprowadziła ich w stronę gęstych krzaków porastających brzeg sadzawki.

Doovie i Splinter stali nad wodą.

— O, jest! — wykrzyknął Splinter, wskazując palcem i pochylając się niebezpiecznie. — Tam, na dnie! Moja najlepsza kulka! Czy mama by ci pozwoliła po nią zanurkować?

Doovie spojrział w wodę.

— Kulka do wody.

— Właśnie mówiłem! — zawołał Splinter niecierpliwie. — A ty możesz zamknąć nos. — Dotknął czarnego błyszczącego guziczka. — I zwinąć uszy. — Trącił palcem ucho Doovie'ego i z podziwem patrzył, jak się zwinia. — Ty to masz dobrze. Ja bym też tak chciał.

— Doovie do wody? — zapytał malec.

— Tak — skinął głową Splinter. — Wiesz, to jest moja najlepsza kulka, a ty nawet nie musisz wkładać kąpielówek. Masz futerko.

Doovie pozbył się szybko swojego skromnego ubioru i wśliznął się do wody. Po chwili wypłynął z zaciśniętą piąstką.

— Fajnie. Dziękuję! — Splinter wyciągnął rękę i Doovie ostrożnie podał mu to, co wyłowił. Splinter zacisnął dłoń i niemal w tej samej chwili rozwarł ją wrzeszcząc: — Ty świ-nio! Dawaj mi moją kulkę! Będzie mi tu wtykał jakieś wstrętne oślizłe ryby! — Nachylił się nad sadzawką szamocąc się z Doovie'em i usiłując sięgnąć do jego drugiej ręki. Nagle stracił równowagę, rozległ się plusk i — obaj malcy zniknęli pod wodą.

Serena zaczerpnęła tchu i ruszyła w tamtą stronę. Zaraz jednak ukazała się nad wodą zaniepokojona buzia Doovie'ego. Wyciągnął kaszlącego i plującego Splintera i wyrzucił go na trawę. Kucnął przy nim i poklepując go po plecach to smutno pogwizdywał przez nos, to tłumaczył się w języku Linjeni.

Splinter kasłał i tarł oczy pięciami.

— Zobaczysz! Zobaczysz! — pokazywał swój mokry sweter. — Mama będzie krzycza-ła. Czyste ubranie całe mokre! A gdzie jest moja kulka?!

Mały Linjeni znów ruszył w stronę sadzawki. Splinter dogonił go z krzykiem:

— Doovie, a gdzie jest ta rybka? Ona umrze bez wody. Mnie już tak jedna umarła.

— Rybka?

— Tak. — Splinter na czworakach starannie przeszukiwał trawę. — Ta rybka, co mi ją dałeś zamiast kulki.

Dwójka malców zaczęła się czołgać na brzuchach. Nagle Doovie zagwizdał z triumfem:

— Rybka! — i wrzucił rybkę z powrotem do wody.

— No — uspokoił się Splinter — teraz już nie umrze. Popatrz, popatrz, płynie, o tam!

Doovie raz jeszcze dał nurka do wody i wypłynął z kulką.

— Chodź, pokażę ci, jak strzela — zaproponował Splinter.

Nagle z krzaków wychynęła pani Pink. Uśmiechnęła się do dzieci i w tej samej chwili zobaczyła po drugiej stronie polanki milczącą grupę. Jej oczy rozszerzyły się; zagwizdała zdumiona. Chłopcy podnieśli głowy.

— Tata! — wykrzyknął Splinter. — Pobawisz się z nami? — Puścił się pędem do Thorny, a zaraz po nim, pogwizdując w podnieczeniu, rzucił się w objęcia lawendowego Linjeni Doovie.

Serenie zachciało się śmiać na widok dwóch ojców, którzy witając swoje pociechy usiłowali jednocześnie zachować stosowną powagę.

Pani Pink podeszła nieśmiało do grupy i stanęła koło Sereny, która objęła ją ramieniem. Splinter wdrapał się Thornowi na rękę, uściskał go mocno i uwolnił się z jego objęć.

— Dzień dobry, panie generale — wyciągnął do generała Worshama bardzo brudną rączkę, ponieważś przypominając sobie o dobrych manierach. Tata, ja miałem teraz uczyć Doovie'ego, jak się gra w kulki, ale ty strzelasz lepiej. Pokaż mu.

— Nno dobrze... — powiedział Thorn spoglądając niepewnie na generała Worshama.

Podczas gdy Doovie pogwizdując podziwiał kolorowe szklane kulki, generał Worsham obserwował Linjeni. Wreszcie mrugnął do Thorny, a potem do pozostałych członków grupy.

— Proponuję ogłosić przerwę w działaniach wojennych — powiedział — celem prze-myślenia wynikłych ostatnio problemów.

Serena poczuła ogarniającą ją falę wzruszenia. Odwróciła twarz, żeby pani Pink nie widziała, że płacze. Ale pani Pink była zbyt pochłonięta widokiem kolorowych kulek, żeby zauważyć płynące z jej oczu łzy radości.

Przełożyła *Zofia Uhrynowska*

R. A. LAFFERTY
SIEDEM DNI STRACHU

— Czy chcesz, żeby coś znikło? — zwrócił się do matki Clarence Willoughby.

— Zlew pełen brudnych naczyń — to jedyne, co mi przychodzi na myśl. Jak chcesz to zrobić?

— Właśnie zbudowałem znikacz. Wycina się denko z puszki po piwie, potem bierze się dwa kawałki czerwonego kartonu z dziurkami pośrodku i dopasowuje się na miejsce denka i wieczka. Trzeba popatrzeć przez obie dziurki i mrugać — wtedy to, na co się patrzy, znika.

— Aha.

— Tylko nie wiem, czy potrafię zrobić tak, żeby te rzeczy wróciły. Lepiej spróbujemy na czymś innym. Talerze trzeba kupować.

Nie po raz pierwszy pani Myra Willoughby musiała podziwiać rozsądek swojego dzie-sięcioletniego syna. Ona nie pomyślałaby o tym.

— Możesz spróbować na kocie pani Manners. Jego zniknięcie nie zmartwi nikogo poza panią Manners.

— Dobra.

Chłopiec przyłożył aparacik do oka i mrugnął. Kot znikł z chodnika.

Pani Willoughby zainteresowała się.

— Ciekawe, jak to działa. Czy wiesz, na czym to polega?

— Oczywiście. Bierze się puszkę po piwie z wyciętym denkiem i wierzchem i wkłada się tam dwa kawałki kartonu. Potem trzeba mrugnąć.

— Dobrze już, dobrze. Idź się tym bawić na dwór. Lepiej, żeby w domu nic nie znikało.

Jednak, kiedy chłopiec wybiegł, matka była nieco wytrącona z równowagi.

„Czasami zastanawiam się, czy to nie jest nad wiek rozwinięte dziecko. Przecież wielu dorosłych nie potrafiłoby zrobić znikacz. Ciekawe, czy Blanche Manners będzie bardzo żało-wać tego kota?”

Clarence poszedł do baru na rogu.

— Czy chce pan, żeby coś znikło, panie Nokomis?

— Mój brzuch.

— Jeśli zrobię tak, że on zniknie, to będzie pan miał w sobie dziurę i wykrwawi się pan na śmierć.

— Rzeczywiście. To spróbuj z tym hydrantem na ulicy.

Pod pewnym względem było to jedno z przyjemniejszych popołudni w naszej dzielnicy. Ze wszystkich sąsiednich ulic zbiegły się dzieci, żeby bawić się na zalanych wodą jezdniach i w rynsztokach. I jeśli nawet któreś utopiło się (a wcale nie twierdzimy, że tak było) w tej powodzi (a była to prawdziwa powódź!), to z takimi wypadkami zawsze trzeba się liczyć. Sa-mochody straży pożarnej (kto słyszał, żeby wzywać straż

pożarną do powodzi?) nurzały się w wodzie. Policjanci i ludzie z Pogotowia Ratunkowego snuli się przemoczeni i zbici z tropu.

— Odzyskiwacz, odzyskiwacz, komu odzyskiwacz? — nuciła Clarissa Willoughby.

— Zamknij się — powiedział facet z Pogotowia.

Nokomis, właściciel baru, odwołał Clarence'a na stronę.

— Myślę, że na razie nikomu nie powiem, co się stało z tym hydrantem.

— Jak pan nie powie, to ja też nie powiem — zgodził się Clarence.

Komisarz Comstock coś przeczuwał. — Jest tylko siedem możliwych wyjaśnień: zrobiło to jedno z siedmiorga dzieci państwa Willoughby. Ale jak? Żeby to zrobić, trzeba by mieć buldożer, a i wtedy zostałyby jakieś szczątki. Nie wiem, jak to zrobiły, ale czuję, że to któreś z nich.

Komisarz Comstock miał dar trafiania na ślad prawdy w zagmatwanych sprawach.

— Clarissa! — zagrzmiał komisarz.

— Odzyskiwacz, komu odzyskiwacz — nuciła Clarissa.

— Czy wiesz, co się stało z hydrantem?

— Mam pewne niejasne podejrzenia. Na razie nic więcej. Jak się czegoś dowiem, dam panu znać.

Clarissa miała osiem lat i skłonność do niejasnych podejrzeń.

— Clementine, Harold, Corinne, Jimmy, Cyril — wypytywał komisarz pięcioro młodszych. — Czy nie wiecie, co się stało z hydrantem?

— Wczoraj kręcił się tu jakiś facet. To na pewno on ukradł — powiedziała Clementine.

— W ogóle nie pamiętam, żeby tu był jakiś hydrant. Myślę, że robicie dużo hałasu o nic — powiedział Harold.

— Rada Miejska dowie się o wszystkim — powiedziała Corinne.

— Pewnie, że wiem — powiedział Jimmy — ale nie powiem.

— Cyril! — krzyknął komisarz Comstock okropnym głosem. Nie przerażającym, ale właśnie okropnym. Bo komisarz czuł się okropnie.

— Na miłość boską — powiedział Cyril — przecież ja mam trzy lata. Nie rozumiem, jak można mieć do mnie o coś pretensję.

— Clarence — powiedział komisarz.

Clarence głośno przełknął ślinę.

— Czy wiesz, gdzie się podział hydrant?

Clarence odetchnął. — Nie, proszę pana. Nie wiem, gdzie się podział.

Przyjechało kilku mądrali z wodociągów, zamknęli dopływ wody w całej dzielnicy i założyli jakąś pompę na miejsce hydrantu. — Nie wiem, co napisać w raporcie — powiedział jeden z nich.

Komisarz Comstock odszedł zniechęcony. — Niech mi pani nie zawraca głowy — ofuknął panią Manners. — Nie wiem, gdzie szukać pani kota. Gorzej, że nie wiem też, gdzie szukać hydrantu.

— Wydaje mi się — wtrąciła Clarissa — że gdyby pan znalazł kota, to hydrant byłby w tym samym miejscu. Takie mam przeczucie.

Ozzie Murphy zjawiała się w kapelusiku na czubku głowy. Clarence wycelował swoją broń i mrugnął. Kapelusik znikł i na głowie Ozzie pojawiło się kilka kropel krwi.

— Ja bym się tym więcej nie bawił — powiedział Nokomis.

— A kto się bawi? — powiedział Clarence. — To jest naprawdę.

Tak się rozpoczął okres siedmiodniowego terroru w cichej dotychczas dzielnicy. Drze-wa i latarnie znikły bez śladu; Wally Waldorf zajechał przed dom, wysiadł z auta,

zatrzasnął drzwiczki i auta nie było. Kiedy George Mullendorf wrócił do domu, jego pies Pete wybiegł mu na spotkanie i podskoczył, żeby polizać pana. Pies odbił się od chodnika i w tym momencie coś się stało; pies znikł i tylko szczeknięcie zawisło w powietrzu.

Ale najgorzej było z hydrantem. Rano zainstalowano nowy hydrant na miejsce tego, który znikł. Po ośmiu minutach nie było go i powódź powtórzyła się. Następny założono o dwunastej. Ten również znikł po trzech minutach. Następnego dnia rano zainstalowano czwarty z kolei hydrant.

Obecni przy tym byli — kierownik wodociągów miejskich, szef policji z eskortą, przewodniczący koła rodzicielskiego, rektor uniwersytetu, burmistrz, trzech panów z Federalnego Biura Śledczego, kronika filmowa, wybitni uczeni i tłum uczciwych obywateli.

— Zobaczymy, czy teraz zniknie — powiedział naczelnny inżynier.

— Zobaczymy, czy teraz zniknie — powiedział szef policji.

— Zobaczymy, czy... Znikł! — powiedział jeden z wybitnych uczonych.

Hydrant rzeczywiście znikł i wszyscy byli bardzo mokrzy.

— Za to ja mam zdjęcie roku — powiedział operator kroniki. I wtedy znikła z jego rąk kamera.

— Zamknijcie dopływ wody i założcie plombę — powiedział kierownik od wodociągów. — I nie instalujcie na razie nowego hydrantu. Zresztą to był ostatni w magazynie.

— To jest ponad moje siły — powiedział burmistrz. — Ciekawe, czy TASS już o tym wie?

— TASS już wie — powiedziała mała, tęgi facet. — Ja jestem z TASS-a.

— Wszystkich panów zapraszam do swojego lokalu na nasz nowy Hydrant Cocktail — ogłosił Nokomis. — Przyrzadzam go z dobrej whisky, palonego cukru i wody z tego hydrantu. Będziecie pierwszymi, którzy wypróbują nowy cocktail.

Od czasu, kiedy sprzed drzwi lokalu Nokomisa zaczęły znikać hydranty, interes szedł znakomicie.

— Mam sposób, żebyśmy zostali bardzo bogaci — powiedziała w kilka dni później Clarissa do swojego ojca, Toma Willoughby. — Wszyscy mówią, że chcą czym prędzej sprzedać swoje domy i przenieść się gdzie indziej. Postaraj się o dużo pieniędzy i wykup wszystkie domy. Potem sprzedasz je i będziemy bogaci.

— Nie kupiłbym ich nawet po dolarze za sztukę. Trzy domy już znikły i wszyscy oprócz nas powynosili meble do ogródków. Któregoś pięknego poranka może się okazać, że zostały tylko puste place.

— No to kup same place i zachowaj, aż domy powrócą na swoje miejsce.

— Wróca? Te domy mają wrócić? Czy wiesz coś na ten temat, młoda damo?

— Mam podejrzenie graniczące z pewnością. Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć.

W niechlujnym apartamencie, który wyglądał, jakby jego właścicielem był pijany sułtan, spotkali się trzech wybitni specjaliści.

— To wykracza poza metafizykę. To zatraća o quantum continuum. W pewnej mierze podważa nawet Boffa — powiedział doktor Velikof Vonk.

— Przyległość nieprzechodniości jest najbardziej zastanawiającym aspektem tego fenomenu — powiedział Arpad Arkabaranan.

— Tak — powiedział Willy McGilly. — Kto by pomyślał, że można użyć puszkę po piwie i dwóch kawałków kartonu. Kiedy ja byłem chłopcem, używałem pudełka po płatkach owsianych i czerwonej krepiny.

— Nie bardzo rozumiem — przerwał mu doktor Vonk — wołałbym, żeby pan się wyrażał jaśniej.

Jak dotychczas żaden człowiek nie został ranny ani nie zniknął — jeśli nie liczyć kilku kropel krwi na głowie Ozzie Murphy, uszu Conchity skaleczonych, kiedy zniknęły jej wspaniałe kolczyki, obciętego palca, kiedy ktoś dotknął drzwi domu, który właśnie zniknął, czy palca od nogi chłopca, który kopnął znikającą puszkę; w sumie nie więcej niż kieliszek krwi i parę deka ciała.

Teraz jednak w obecności świadków zniknął pan Buckie, właściciel sklepu. To już było poważniejsze.

W domu państwa Willoughby pojawili się jacyś nieprzyjemnie wyglądający cywile. Najnieprzyjemniej wyglądający był majorem. Major nie zawsze tak wyglądał, ale od siedmiu dni miasto żyło w strachu i niepewności.

— Po mieście zaczęły krążyć brzydkie plotki, że ostatnie wydarzenia są związane z waszym domem — powiedział jeden z cywilów. — Czy ktoś z was wie coś na ten temat?

— Plotki pochodzą ode mnie — powiedziała Clarissa — i wcale nie uważam, że są brzydkie. Raczej intrygujące. Jeśli chce pan dotrzeć do sedna sprawy, może mi pan zadać pytanie.

— Czy to znikanie to twoja sprawka?

— To nie jest dobre pytanie — powiedziała Clarissa.

— Czy wiesz, co się stało z rzeczami, które znikły?

— To też nie jest dobre pytanie.

— Czy potrafisz zrobić tak, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce?

— No pewnie. Każdy potrafi. A pan nie?

— Ja nie potrafię. A jeśli ty potrafisz, to zrób to jak najszybciej.

— Do tego potrzebuję kilku rzeczy. Musi mi pan dostarczyć złoty zegarek i młotek. A tu jest lista odczynników chemicznych. I jeszcze potrzebny mi jest metr czarnego welwetu i kilo landrynek.

— Zgodzimy się? — spytał jeden z policjantów.

— Tak — powiedział burmistrz — to nasza jedyna nadzieja. Dajcie jej wszystko, czego żąda.

I tak też zrobiono.

— Dlaczego wszyscy z nią rozmawiają? — poskarżył się Clarence. — To przecież ja zrobiłem znikacz. Skąd ona wie, jak to wszystko postawić na swoje miejsce?

— Tak czułam! — krzyknęła Clarissa z nienawiścią. — Wiedziałam, że to on robi. Przeczytał w moim pamiętniku, jak się buduje znikacz. Gdybym była jego matką, spuściła-bym mu tęgie lanie za to, że czyta pamiętnik swojej siostry. Oto są skutki, gdy wynalazki trafiają w nieodpowiednie ręce.

Clarissa podniosła młotek nad złotym zegarkiem burmistrza, który położyła na podłodze.

— Muszę zaczekać kilka sekund. Nie wolno się zbyt szybko spieszyć. To potrwa tylko chwilę.

Wskazówka minutowa doszła do punktu, który był jej przeznaczony od początku świata. Clarissa nagle z całej siły walnęła młotkiem w piękny złoty zegarek.

— To wszystko — powiedziała — skończyły się wasze kłopoty. O, spójrzcie, kot pani Manners siedzi na chodniku, tak jak siedem dni temu.

I kot rzeczywiście siedział.

— Teraz chodźmy do baru zobaczyć, jak wróci hydrant.

Czekali tylko kilka minut. Hydrant pojawił się znikąd i przyrósł do ulicy.

— Oświadczam wszystkim — powiedziała Clarissa — że wszystkie przedmioty, które znikły, znajdą się na swoich miejscach dokładnie po siedmiu dniach od zniknięcia. Siedem dni strachu skończyło się. Przedmioty zaczęły wracać na swoje miejsca.

— Skąd wiedziałaś, że to wymaga siedmiu dni? — spytał burmistrz Clarissę.

— Dlatego, że Clarence zbudował siedmiodniowy znikacz. Wiem również, jak się robi znikacze dziewięciodniowe, trzynastodniowe, trzytygodniowe i jedenastoletnie. Chciałam zrobić trzynastodniowy, ale trzeba oba końce pomalować krwią chłopczyka, a Cyril wrze-szczał, kiedy chciałam go naciąć.

— I naprawdę umiesz to wszystko zrobić?

— Tak. Tylko drzę na myśl, że moja wiedza może trafić w niepowołane ręce.

— Podzielam twoje obawy, Clarisso. Powiedz mi jeszcze, do czego były ci potrzebne odczynniki chemiczne?

— Do zabawy w „Małego chemika”.

— A czarny materiał?

— Na suknię dla lalki.

— A kilogram landrynek?

— Nie rozumiem, jak pan został burmistrzem, jeśli pan nie wie, po co są dzieciom landrynki.

— Ostatnie pytanie — powiedział burmistrz. — Dlaczego rozbiłaś młotkiem mój złoty zegarek?

— O — odpowiedziała Clarissa. — To był dramatyczny efekt.

Przełożył *Lech Jęczmyk*

LEW MOGILEW OKNO W PRZESZŁOŚĆ

Popołudniówka „Wieczorny Leningrad” z 17 sierpnia tego roku zamieściła wiadomość o zagadkowej śmierci profesora Worobiowa.

Profesora Worobiowa znałem od dawna. W czasie studiów na wydziale biologii na Uniwersytecie w N. słuchałem jego wykładów z filozofii. Po ukończeniu studiów straciłem go z oczu i spotkałem dopiero piętnaście lat później. Zdarzyło się to w Leningradzie, gdzie w oddziale paleontologii tamtejszego muzeum zoologicznego zbierałem dane o pewnych rzadkich zwierzętach kopalnych, które były przedmiotem mojej rozprawy kandydackiej. Moja macierzysta uczelnia oddelegowała mnie tam na dość krótki czas, więc całymi dniami prze-siadywałem w muzeum i dopiero wieczorem mogłem sobie pozwolić na spacer bulwarami.

Worobiowa spotkałem właśnie w trakcie jednej z takich przechadzek. Profesor mnie nie poznał, ale w odpowiedzi na mój ukłon mechanicznie uchylił kapelusza. Podszedłem więc do niego i zagadnąłem:

— Pan mnie sobie oczywiście nie przypomina, Wiktorze Grigoriewiczu... Jestem pańskim dawnym słuchaczem...

Worobiow się ożywił. Jego oczy wesoło błysnęły spoza okularów.

— Mój uczeń? Bardzo mi miło! Przepraszam, a kiedy to było?...

— Dawno... Piętnaście lat temu!
— Taak, ładny kawał czasu...
— Słuchałem pańskich wykładów z filozofii... Na drugim roku...
— Zgadza się... Przepraszam, a jak pan się nazywa?...
— Pietrow, Wiktor Grigoriewicz...
— Imiennik?! A jakże, pamiętam! Czym się pan teraz zajmuje?
— Jestem paleontologiem. Pozostałem na naszej starej uczelni jako aspirant w katedrze geologii historycznej.

— Cudownie! Bardzo się cieszę.

Zdałem sobie oczywiście sprawę, że profesor potakuje mi tylko z uprzejmości, a jednak jego zainteresowanie sprawiało mi dużą przyjemność. Rozgadaliśmy się. Worobiov zaproponował wspólny spacer, na co chętnie przystałem.

Teraz mogłem dokładniej przyjrzeć się profesorowi. Bardzo się postarzał, nie utracił jednak nic z dawnej jasności umysłu.

Opowiedziałem mu o swojej pracy. Worobiov słuchał z niekłamaną ciekawością i zadawał pytania świadczące o tym, że temat mojej rozprawy nie jest mu obojętny.

— Zazdroszczę panu! — powiedział wreszcie z odcieniem smutku w głosie. — No cóż, starość...

— Wiktorze Grigoriewiczu, jak można! Jest pan jeszcze taki rześki!

— Może i rześki, ale zdrowie...

Zmieszałem się i pożałowałem, że zbyt wiele mówiłem o sobie. Profesor zauważył moje zakłopotanie i powiedział:

— Drobiazg! Praw natury nie da się zmienić. Już od dziesięciu lat jestem na emeryturze, co nie znaczy, że już do niczego się nie nadaję! A zresztą... Pomówmy lepiej o paleontologii... Powiedział pan, że nie tylko poznane fakty, ale śmiała wyobraźnia naukowa pozwoliła odtworzyć obraz dalekiej przeszłości... Zgadza się, ale... Zdarza się czasem, że nawet fantazja nie pomaga, że konieczne jest bezpośrednie odczucie. Często pan odwiedza Leningrad?

— Jestem tu dopiero trzeci raz.

— Proszę sobie przypomnieć wrażenia z pierwszego pobytu. Jestem pewien, że przed przyjazdem do miasta znał pan jego zabytki z książek, czasopism, kronik filmowych. Ale czyż mogły one przekazać wszystko to, co pan zobaczył własnymi oczami?! Byłem kiedyś w Grecji, w Atenach, nad brzegiem Morza Egejskiego, na Akropolu... Stałem, patrzyłem i czułem wieczność. Wieczność wyzwoloną z ciasnych ram czasu. Tego się nie da opisać. A proszę sobie wyobrazić, że nagle znalazł się pan w czasach prehistorycznych... powiedzmy — w okresie kredowym. Idzie pan pradawnym lasem... Co pan widzi? Co słyszy? Jakie pan czuje zapachy? Czego pan dotyka?...

— Taak, Wiktorze Grigoriewiczu...

— Prawda?...

Zapadał zmierzch. Za rzeką zapaliły się światła i na wodę legły długie, poszarpane wstęgi refleksów. Czas się było rozstać. Przy pożegnaniu Worobiov zaprosił mnie do siebie.

— Nie, nie! — wykrzyknął widząc, że potraktowałem zaproszenie jako zdawkową uprzejmość. Ja rzeczywiście chcę, aby pan mnie odwiedził. Mieszkam tylko z gospożą... Córka z mężem na drugim końcu kraju. — Podyktował mi adres i dodał: — Najlepiej będzie, jak pan wpadnie około siódmej wieczorem. Dobranoc!

W ciągu najbliższych paru dni byłem bardzo zajęty. Po tygodniu jednak postanowiłem wybrać się do profesora. Worobiov mieszkał w pięknym starym domu z fasadą ozdobioną sztukateriami. W oknach klatki schodowej zachowały się fragmenty

bogatych witraży. Drzwi mieszkania na pierwszym piętrze otworzyła starsza tęga niewiasta z dobrodusznym wyrazem twarzy.

— Czy zastałem pana profesora?

Niewiasta potakująco skinęła głową i powiedziała głośno.

— Wiktorze Grigoriewiczu, gość do pana!

— Już idę!

Worobiov miał na sobie proste, lecz schludne domowe ubranie.

— Przyszedł pan wreszcie! Bardzo się cieszę! — powiedział z ożywieniem, wyciągając do mnie rękę.

— Mario Stiepanowno, poprosimy o herbatkę... Proszę dalej! — powiedział profesor i z ciemnego przedpokoju o wysokim stropie przeszliśmy do gabinetu gospodarza. W wąskim, długim i niezbyt jasnym pokoju o jednym oknie wychodzącym na podwórze stały pod ścianami czarne, politurowane regały wypełnione książkami. Pod oknem było jeszcze wielkie czarne biurko i dwa podniszczone fotele: na ścianie wisiał ujęty w wąską ramkę wspaniały ołówkowy szkic rzeźby Antokolskiego „Umierający Sokrates”, a na stojącej w rogu szafce — gipsowe popiersie Lwa Tołstoja.

— Proszę — profesor wskazał mi jeden z foteli — niech pan siada!

Zauważył, z jaką ciekawością oglądałem długie szeregi książek, i powiedział nie bez dumy w głosie:

— Moje skarby! Nauki przyrodnicze, sztuka, filozofia... Trochę fizyki, biologii...

Podszedł do jednej z półek i wydobył duży tom.

— To coś dla pana...

Ujrzałem wspaniałe wydanie podstaw paleontologii.

— Ta książka jest oczywiście już przestarzała powiedział profesor. — Ale nie o to chodzi... Proszę zwrócić uwagę na ilustracje. Świetne, prawda? Co za precyzja rysunku, jakie barwy! Mówiliśmy poprzednio o fantazji naukowej... Czy pańskim zdaniem ilustrator miał wyobraźnię?

— Zadziwiająco!

— A jednak... Coś panu pokażę...

Profesor znów podszedł do regału i przez dłuższą chwilę w nim szperał. Wreszcie położył przede mną wielki album w wytłaczanej skórzanej oprawie.

Spostrzegłem, z jaką niecierpliwością czekał, aż otworzę pierwszą stronicę. Najwidoczniej album zawierał coś niezwykłego. Rzeczywiście, były tam cudowne kolorowe fotografie. Nie mówię o ich doskonałości technicznej, bo zainteresowało mnie coś innego. Zdjęcia przedstawiały jakieś dziwne krajobrazy. Przyjrzałem się im uważniej i nie zdołałem powstrzymać okrzyku:

— Przecież to reprodukcje z książki!

— Z rysunków, chciał pan powiedzieć? — spytał Worobiov filuternie mrużąc oczy.

— Oczywiście, że z rysunków! Przecież prehistorycznego krajobrazu nie można fotografować z natury!

— Naturalnie, że nie można... Ale to nie są reprodukcje rysunków. Daję panu na to słowo, bo sam te zdjęcia robiłem.

— Pan?!

— Tak.

Widząc niedowierzanie na mojej twarzy profesor znów się uśmiechnął.

— Dziwi się pan? Nie będę na razie rozpraszał pańskich wątpliwości. Proszę najpierw obejrzeć album do końca.

Posłuchałem. Przewracałem kolejne karty i moje zdziwienie nieustannie rosło. Tu pradawny las składający się z drzewiastych paproci. Tu znów żółte urwisko nad

jaskrawoniebie-skim morzem; z dala od brzegu rysuje się jakaś sylwetka. Łódka? Pień drzewa? Zwierzę? No tak, oczywiście! Delfin? A gdzie płetwa grzbietowa? Wreszcie coś znajomego: maleńka głó-wka na długachnej szyi. Diplodok!

Profesor obserwował mnie w milczeniu. W oczach błyskały mu filuterne iskierki. Skoń-czyłem oglądać album i spojrzałem pytająco. Czekałem na wyjaśnienia, ale Worobiov najwy-raźniej z nimi zwlekał, a może w ogóle nie miał zamiaru ich udzielić.

— Proszę na herbatę! — rozległ się głos Marii Stiepanowny.

Przeszliśmy do jadalni. Przy herbacie gawędziliśmy na obojętne tematy. Profesor żarto-wał, opowiadał anegdoty, najwyraźniej unikając odpowiedzi na dręczące mnie pytanie. Wre-szcie nie wytrzymałem:

— Wiktorze Grigoriewiczu, gdzie pan robił te zdjęcia?

— O nie, drogi panie! Nie teraz. Proszę się uzbroić w cierpliwość!

Widząc, że nic nie wskóram, zacząłem się żegnać. Worobiov nie zatrzymywał mnie, ale odprowadzając do drzwi nalegał na powtórną wizytę.

W drodze do hotelu nie przestawałem myśleć o zagadce tajemniczego albumu. Po głó-wie snuły mi się różne przypuszczenia. Może to krajobrazy Komorów? Przecież na tych wy-spach zachowały się reliktywne lasy. Brednie! Jak mogłem coś podobnego pomyśleć! A może to powiększone zdjęcia mikroświata? Taka na przykład trawa w dużym powiększeniu przy-pomina tropikalny las... Nie, to nie to! Profesor powiedział, że fotografie robiono nie z rysu-nku i nie z natury. Zresztą byłem zbyt dobrego zdania o Worobiowie, aby podejrzewać go o mistyfikację.

Przez dwa dni dzielące mnie od następnej wizyty zupełnie nie mogłem pracować i ciągle tylko starałem się rozwiązać zagadkę albumu. I oto znów naciskam guzik dzwonka. Maria Stiepanowna uśmiecha się jak do starego znajomego, Wiktor Grigoriewicz wita mnie z radością.

— Jest pan! Lubię punktualnych młodych ludzi! Proszę, niech pan wejdzie.

Gdy już usiadłem w znajomym fotelu, opadło ze mnie całe napięcie ubiegłych dni. Profesor paląc papierosa spacerował po pokoju.

— Dzisiaj chciałbym porozmawiać z panem na tematy nieco ogólniejsze — powiedział po dłuższym milczeniu. — Wie pan, że z wykształcenia jestem fizykiem i że przez całe życie zajmowałem się teorią. W ostatnich latach jednak coraz bardziej pociągał mnie eksperyment, gdyż inaczej nie mogłem sprawdzić moich przypuszczeń, do których doszedłem w pewnym sensie wyprzedzając fakty. To była dość niezwykła droga, ponieważ większości uczonych-praktyków brakuje szerszego, by tak rzec, filozoficznego spojrzenia na przedmiot badań. Nie mówię tu oczywiście o wąskim empiryzmie, lecz o swego rodzaju ułomności myślenia.

Profesor zamilkł na chwilę, a ja bez powodzenia starałem się odgadnąć bieg jego myśli.

— Jak by to panu możliwie jasno wytłumaczyć? — spojrzał pytająco na mnie. — Trudno przejść od przesłanek teoretycznych do konkretów, tym bardziej że nie jest pan facho-wcem... Najważniejsze jest chyba to, że każdemu pokoleniu uczonych właściwy jest określo-ny sposób myślenia, a właściwie myślenie określonymi kategoriami. I co gorsze, wszystko wykraczające poza ramy tych schematów myślowych z reguły odbierane jest negatywnie. Nie dlatego że brak jest odpowiednich dowodów, ale dlatego iż nawet te dowody nie mogą być właściwie odebrane. Zgadza się pan ze mną.

— Obawiam się powiedzieć tak lub nie...

— To bardzo źle! Obawa często uniemożliwia uchwycenie sedna sprawy. To, o czym będę mówił, może się wydać dziwne. Proszę jednak nie wyciągać pochopnych wniosków! Chodzi mi o pojęcie czasu rozpatrywane w kategoriach fizycznych i

filozoficznych. Nie będę przytaczał znanych definicji... W naszej codziennej praktyce używamy czasu jako układu odniesienia i nie wątpimy w jego obiektywność. Godzina, minuta, sekunda lub inny dowolny odcinek czasu są obiektywne, gdyż określają zarówno przebieg obserwowanych procesów materialnych, jak i trwanie zjawisk fizjologicznych naszego postrzegania. Jednakże sama percepcja zjawisk jest subiektywna... A subiektywne odczucia są ograniczone możliwościami fizjologicznymi... Człowiek za pomocą precyzyjnych aparatów znacznie rozszerzył te możliwości. Dzięki tym przyrządom możemy wnioskować o ruchu cząstek elementarnych, mierzyć odległości do gwiazd... Ale bez względu na to, z jak dokładnego aparatu skorzystamy, jaką metodę pośrednią zastosujemy, wszystko i tak sprowadza się do postrzegania subiektywnego. Cóż więc gwarantuje prawdziwość naszej wiedzy? Umiejętność porównywania. Ale wróćmy do pojęcia „czas”, które dzielimy na podkategorie „przeszłość”, „teraźniejszość” i „przyszłość”... A coż to jest „teraźniejszość”?

— Teraźniejszość... No coż, to wszystko, co odczuwamy w danej chwili... Wydaje mi się to oczywiste...

— Właśnie! „Wydaje się”. A w rzeczywistości nie jest to wcale takie oczywiste. Teraźniejszość... Jakież wzorzec przyjąć na określenie tej pory? Godzinę? Minutę? Sekundę?... W samym pojęciu teraźniejszości zawiera się umowność, Mówimy „dzisiaj”. Ale przecież dzień jest dosyć długim okresem czasu, który możemy traktować jako teraźniejszość jedynie w stosunku do znacznie dłuższych jednostek — tygodnia, miesiąca, roku... To samo rozumowanie można zastosować wobec godziny, minuty, sekundy i okaże się, że teraźniejszość można określić dowolnie małym okresem czasu! Powstanie wrażeniu zmysłowego wymaga jednak określonego czasu, zależnego od szybkości przebiegu impulsu przez włókno nerwowe, komórkę... Wynika z tego dość nieoczekiwany wniosek, że obszar naszego postrzegania rozciąga się na teraźniejszość, przeszłość i przyszłość, a co za tym idzie, my sami istniejemy w tym samym przedziale czasowym.

— Ależ „odczuwam”, to nie znaczy „istnieję”!

— Oczywiście! Nie możemy się zrozumieć... Postaram się wyjaśnić to na przykładach. Wyobraźmy sobie plemię, które żyje przez krótką chwilę. Dla nas ta chwila jest teraźniejszością, dla nich — zawiera przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nasza sfera postrzegania jest więc znacznie obszerniejsza... Drugi przykład. Pamięta pan zapewne opowiadania Wellsa *Najnowszy przyspieszacz*. Przyjmijmy, że procesy fizjologiczne można przyspieszać tysiące razy, co pociąga za sobą przyspieszenie procesów postrzegania. W takim wypadku w ciągu sekundy moglibyśmy przeżyć wiele przygód i zobaczyć wiele ciekawych rzeczy.

— Ale to przecież niemożliwe!

— Tak jak to przedstawił autor, oczywiście że nie... ale w ogóle... Wells również w swojej *Maszynie czasu* wypowiedział wiele interesujących myśli. Wątpliwe jednak, aby człowiek mógł bez szwanku przenosić się z jednego czasu w drugi. Stanowimy wszak udział materialny, który może istnieć tylko w określonych ramach czasowych... Ale są zjawiska, które, jak sędzę, nie podlegają tym ograniczeniom. Chodzi mi o fale elektromagnetyczne i siły grawitacyjne, które rozprzestrzeniają się z prędkością absolutną. Powstaje więc pytanie, czy można zbudować takie urządzenie elektroniczne, które współdziałając z naszym mózgiem rozszerzałoby dowolnie ramy czasowe naszego obszaru postrzegania?

— Odnoszę wrażenie, że w swoich wywodach opiera się pan na subiektywnej ocenie czasu...

— Nie, mój drogi! Pan mnie opacznie zrozumiał! Chodzi o stosunek subiektywnych

wrażen do obiektywnej rzeczywistości. Uznajemy za realne jedynie to, co pokrywa się w cza-sie z fizjologicznymi procesami naszego postrzegania. Ale czy człowiek śpiący lub nieprzy-tomny zdaje sobie sprawę z upływu czasu, obiektywnych skądinąd godzin, minut, sekund?

Worobiov uśmiechnął się zagadkowo.

— A może istnieje również to, co pokrywa się w czasie z naszymi doznaniem? — zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

— Czas jest dla mnie — kontynuował profesor — czymś wszechobejmującym, wielo-wymiarowym jak przestrzeń... Ludzie na skutek swych ograniczeń fizjologicznych odczuwają zaledwie niewielki wycinek tej całości i nazywają go „teraźniejszością”.

— Trudno mi to pojąć, Wiktorze Grigoriewiczu! Jako paleontolog przywykłem dosyć swobodnie operować czasem, liczyć go na miliony i a nawet setki milionów lat, ale...

— Właśnie to „ale” stanowi o poznaniu sedna.

Profesor zapalił papierosa.

— Z pewnością pana zanudziłem...

— Skądże, to jest tak niezwykle interesujące!

— Bardzo pan uprzejmy... Wobec tego pokażę panu... — Spojrzał na zegarek. — Ale-śmy się zagadali! Przejdźmy do jadalni.

Po wypiciu filiżanki kawy pożegnałem swego gospodarza. Oczywiście otrzymałem przy tym nowe zaproszenie.

Byłem potem u profesora jeszcze kilkakrotnie i prowadziłem z nim długie rozmowy. Muszę się przyznać, że niektóre poglądy Worobiowa były tak niecodzienne, że zacząłem go podejrzewać o rodzaj manii.

Nastał wreszcie długo oczekiwany dzień. Siedziałem wraz z profesorem przy otwartym oknie jadalni. Zmierzchało się, ale Worobiov prosił, abym nie zapalał światła.

— A więc, drogi imienniku — powiedział po chwili milczenia. — Postanowiłem zdradzić dziś panu moją największą tajemnicę. Wystarczająco długo zanudzałem pana swoimi przemowami i obawiam się, że wyrobił pan sobie nie najlepsze zdanie o mojej filozofii. Chcę więc pana do niej przekonać.

Przeszliśmy do małego pokoiku sąsiadującego z jadalnią. Okno pomieszczenia było dokładnie zasłonięte ciężką storą, a jedynym źródłem światła była wisząca pod sufitem słaba żarówka w różowym kloszu. Jedyne umeblowanie stanowiły dwa fotele i niska politurowana szafeczka ustawiona pod zawieszonym na ścianie ekranem w pięknej owalnej ramie. Profesor wskazał mi fotel naprzeciw ekranu, a sam podszedł do szafeczki.

— Nie jest pan fizykiem — powiedział po chwili — nie będę więc pana zamęczał szczegółami technicznymi, lecz po prostu pokażę działanie aparatu.

Otworzył drzwi szafeczki i pokazał dwie półki wyłożone materiałem przypominającym porcelanę i oświetlone małymi żarówkami. Na dolnej półce znajdowało się jakieś urządzenie elektroniczne, a w górnej tysiące przezroczystych, skrzących się wszystkimi barwami tęczy kryształów zawieszonych na ukośnych linkach, jakieś cewki i naczynka z opalizującymi płynami.

— To — profesor wskazał na górną półkę — zasadnicza część urządzenia, wynik mojej wieloletniej pracy. A teraz zaczniemy.

Zamknął drzwi szafeczki i pochylił się nad niewielkim pulpitem umieszczonym w dole ekranu, który po chwili rozjarzył się bładoniebieskim światłem.

— Wiktorze Grigoriewiczu! — wykrzyknąłem. — To chyba udoskonalony model

tele-wizora!

— Jest pan tego pewien? — zapytał profesor i zgasił lampę.

W centrum ekranu pojawiła się jaskrawa żółta plama, która zaczęła się szybko powiększać, aż wypełniła całą jego powierzchnię i zalała pokój słonecznym blaskiem. Uniosłem się ze zdumienia. Nagle ekran znikł, a w ramie otworzyła się szeroka perspektywa.

Ujrzałem brzeg morza, granatowe fale i białe bryzgi piany, oślepiająco błękitne niebo tchnące południowym skwarem i wysuszony słońcem gąbczasty gład leżący na piasku.

Obraz był tak wyraźny, że dawał całkowite złudzenie otwartego okna. Rozróżniałem każde ziarenko piasku na plaży, każdą nierówność kamienia, mikroskopijne muszki zaplątane w kłębkach suchych wodorostów i wilgotny ślad pozostawiony przez cofającą się falę. Byłem tak zafascynowany tym widokiem, że wzdrygnąłem się na głos profesora.

— Podoba się?...

— To... to...

— Widzę, że tak! Patrzmy dalej...

Daleko nad morzem pojawił się ciemny punkcik, który szybko rósł, by po chwili zamienić się w wielkiego ptaka machającego niezręcznie szerokimi skrzydłami. Dziwny ptak!

— Niech pan patrzy! — Worobioł schwycił mnie za rękaw. — Leci prosto na nas! Zaraz my go...

W tej samej chwili zagadkowy lotnik gwałtownie skręcił i zaczął się oddalać.

— Ucieka! — wykrzyknął profesor i szybko zaczął obracać pokrętła aparatu.

Morze zaczyna nasuwać się na nas i odnoszę wrażenie, że przeniosłem się na mostek szybkiego statku. Grzywy fal przepływają pode mną. Brzeg pozostał z tyłu. Dopędzamy lotnika. Rozróżniam długą szyję, błoniaste skrzydła... Ale cóż to?... Ekran nieoczekiwanie pokrywa się błękitną mgiełką. Ogromny cień przecina go po przekątnej i niknie.

— Uszkodzenie! Co za pech... — szczerze zmartwił się profesor.

Ekran zaczął ciemnieć i po chwili całkiem zgasł. Worobioł zapalił światło i znów pochylił się nad pulpitem. Aparat cicho pobrzękiwał. Milczałem, bojąc się przeszkodzić profesorowi w jego manipulacjach. W końcu moja cierpliwość została nagrodzona. Na ekranie pojawił się słaby poblask.

— Nareszcie! — wykrzyknął Worobioł z ulgą.

Tym razem widok był nieco odmienny. Morze przesunęło się w lewo, wprost przed sobą miałem jaskrawo oświetloną słońcem piaszczystą łachę, a po prawej, u samej linii horyzontu, odległą wstęgę lasu.

— Trochę za daleko — powiedział Worobioł do siebie. — Ale spróbujemy...

Nacisnął dźwignię na pulpicie i las zaczął się przybliżać. Po chwili rozróżniałem już poszczególne drzewa. Proste jak kolumny, pokryte łuskami pnie i wachlarze pierzastych liści u szczytu. Palmy. Zielona ściana nasunęła się na nas. Wierzchołki drzew zniknęły z pola widzenia, ustępując miejsca kłębiastym zaroślom podszycia. Wolno przenikaliśmy przez tę roślinną płataninę. Z mokrej, błotnistej gleby unosiły się gęste opary. Czułem ich wilgoć i duszący zapach. Robiło się coraz ciemniej, bo słońce z trudem przebijało się przez korony drzew.

Złowieszczą cisza dziewiczego świata. Nie wiem, jak długo brnęliśmy przez leśny gąszcz, zanim nieprzebyte chaszcze zrzedły, w górze zajaśniał błękit nieba, a przed nami błysnęła tafla dużego jeziora o powierzchni zmarszczonej lekkim powiewem wiatru.

— Niech pan spojrzy! — profesor trącił mnie w ramię i pokazał na przeciwległy brzeg, gdzie pośród niskich zarośli przemykało jakieś wielkie zwierzę.

— Żebyśmy go tylko nie stracili z oczu! — zaniepokoił się Worobiow. Jego ręce sprawnie biegały po pulpicie, a wzrok nie odrywał się od ekranu. Przecieliśmy jezioro kierując się do miejsca, w którym zauważyliśmy zagadkowe zwierzę. Spóźniliśmy się, bo uciekinier zdążył zagłębić się w las. Szczęknął przełącznik. Zarośla zaczęły się obracać, póki nasz kąt widzenia nie zmienił się mniej więcej o sto osiemdziesiąt stopni.

— Zajdziemy go od przodu — szepnął Worobiow.

Zbliżyliśmy się do zarośli z przeciwnej strony. Znowu nasuwały się na nas postrzępione liście, znowu wzrok tonął w zwartej zielonej ścianie. Poczujęm się nieswojo. Wrażenie, iż rzeczywiście przedzieram się przez ten straszliwy las, opanowało mnie tak silnie, że mimo woli obejrzałem się za siebie. Nie zobaczyłem jednak nic poza ścianami niewielkiego pokoiku majaczącymi niewyraźnie w świetle ekranu. Znowu spojrzałem na niewiadomy świat i nagle spostrzegłem jego mieszkańca. Spoza rozsuniętych liści wychynęła głowa potwora, która szybko się przybliżyła i wkrótce zapełniła cały ekran. Profesor ledwie zdążył powstrzymać nasz ruch.

O parę kroków od siebie miałem rdzawo brunatną skórę pokrytą naroślami i mętne, szeroko rozstawione oczy. Ogromna rozwarta paszczyka ukazywała mnóstwo stożkowatych zębów. Instynktownie cofnąłem się na oparcie fotela w obawie, że potwór rzuci się na mnie.

Profesor nie posiadał się z zachwytu.

— Cudo! Piękniś! Adonis! — wykrzykiwał. — Co za uroda! A gdzie aparat fotograficzny?... Zapomniałem, niech to diabli!

Wybiegł z pokoju, a ja zostałem sam na sam ze straszliwym zwierzęciem, którego naj-widoczniej nie urządzało moje towarzystwo, bo nagle ruszyło do przodu i... rozplynęło się po ekranie.

— Wiktorze Grigoriewiczu! — krzyknąłem. — Proszę wracać! Prędeż! On zniknął!

— Co, co się stało?!

Worobiow wbiegł z aparatem fotograficznym w rękach, ale już było za późno. Po zwierzęciu nie pozostało nawet śladu. Profesor nerwowo obracał pokrętki, przełączał jedną dźwignię po drugiej. Na próżno... Las na ekranie opadł gwałtownie w dół, potem wszystko pokrył jaskrawy błękit nieba i ekran zgasł. Worobiow zapalił światło i bezsilnie opadł na fotel.

— Przegapiłem — powiedział z żalem w głosie. — Taki rzadki wypadek, taki rzadki...

Milczałem współczująco. Po kilku minutach profesor znów przemówił:

— Chyba już na dzisiaj skończymy. Zdenerwowałem się i teraz nie będę mógł usnąć...

Była pierwsza w nocy. Pożegnałem się i poszedłem do hotelu.

W ciągu następnego tygodnia byłem tak zajęty, że nie mogłem odwiedzić profesora. Mój pobyt w Leningradzie dobiegał końca, a jeszcze wiele pozostało do zrobienia. Poszedłem do niego dopiero w przeddzień wyjazdu.

— Wyjeżdża pan? — zapytał Worobiow, gdy już siedziałem w fotelu przed ekranem aparatu.

— Wyjeżdżam...

— Szkoda, chciałem panu jeszcze wiele rzeczy pokazać...

— Cóż robić! Nie udało mi się przedłużyć delegacji...

— Nie mamy więc wiele czasu. Udało mi się ostatnio zmontować nowy obwód... Przesuwanie obrazu w czasie... Chcę go teraz wypróbować. Zaczniemy?

— Oczywiście! Bardzo proszę.

Żarówka zgasła, rozjarzył się ekran.

— Przyznam się panu, że nie wiem, co teraz zobaczymy — powiedział Worobiov.
— Może nic?

Rzeczywiście, w ciągu kilku minut po ekranie przebiegały jedynie ciemne faliste linie i rozbłyśki złotych iskierek. Żaden obraz się nie pojawiał. Zacząłem się już poważnie obawiać, że przepowiednie profesora się sprawdzą. Na szczęście moje obawy okazały się przedwcześnie. Poprzez bezładną grę światła i cienie zaczął coraz wyraźniej przebijać jakiś pejzaż.

— Co to jest? — wykrzyknąłem w zdumieniu.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział niepewnie Worobiov.

Dziwny krajobraz wyrysował się już całkowicie. Była to ogromna równina zalana purpurowym, przedwieczornym światłem lejącym się z nieba częściowo zasnutego ciężkimi chmurami. U horyzontu zamykał ją łańcuch skalnych iglic, Rdzawoczerwony grunt jak okiem sięgnąć pokryty był czerwonymi, szablasytymi liśćmi wyrastającymi bezpośrednio z ziemi. Zbliżaliśmy się do skał. Purpurowe płomienie dwumetrowych liści wbiegały na ekran roniąc na ziemię lśniące krople soku. Wreszcie znaleźliśmy się pomiędzy bazaltowymi bryłami skał rozrzuconych na piargowych usypiskach. Miejscami przeglądał popękany grunt, a na nim ro-sły te same liście co i na równinie. W miarę posuwania się do przodu widok stawał się coraz bardziej ponury. Dziki kamienny chaos bez śladu życia.

— Wiktorze Grigoriewiczu, gdzie my jesteśmy?...

— Nie wiem, może na Marsie?...

Za skałami błysnęła tafla wielkiego jeziora. Nad jego brzegami rosły niewysokie drze-wa.

Ale cóż to były za drzewa! Od pękatych pni pokrytych filcowatą korą rozbiegały się na wszystkie strony długie gałęzie podobne do macek, pokryte zamiast liśćmi naroślami przypo-minającymi przyssawki ośmiornicy.

— To chyba zwierzę, jak pan myśli, Wiktorze Grigoriewiczu?

— Wątpię. A zresztą... Niech pan patrzy!

Dostrzegłem, że jedna z gałęzi zaczęła się powoli zwijać, a w ślad za nią poszły nastę-pne.

Nagle naszą uwagę przyciągnęło co innego. Po ziemi wędrował ogromny owad czy też stawonóg, bo nie wiedziałem, do jakiej grupy systematycznej należy to stworzenie zaliczyć.

Zwierzę było wielkości dłoni, miało brudnozielony, muskularny tułów, stosunkowo małą główkę uzbrojoną w silne szczęki i długie, pierzaste anteny o niesłychanie delikatnej budowie. Sześć krótkich, silnych odnóży było zaopatrzonych w stawy. Profesor chcąc dokła-dniej obejrzeć jakiś szczegół budowy zbliżył zwierzę bezpośrednio do ekranu. I wtedy wyda-rzyło się coś tak nieprawdopodobnego, że nie zdołałem się opanować i chwyciłem profesora za rękę.

— Wiktorze Grigoriewiczu! — krzyknąłem. — On pełźnie po wewnętrznej stronie ramy!!!

Profesor nie odpowiadał. Wpił się oczami w niezwykle żyjątko, które bez pośpiechu przebierając łapkami wolno posuwało się po owalu. Worobiov wyciągnął rękę w jego kierunku. Kiedy między ręką profesora i stawonogiem pozostało nie więcej niż dziesięć centyme-trów, zwierzę nagle stanęło i przyjęło pozycję obronną. Rozwarło szczęki i uniosło odwłok do góry. Profesor cofnął rękę i zwierzę wróciło do poprzedniej pozycji. Znowu ją zbliżył — ten sam skutek!

— Zgiń, przepadnij! — nie wytrzymał Worobiow.

— Może...

— Ciii... Niech pan patrzy!

Owad jak gdyby próbował przedostać się w naszą stronę ramy. Z napięciem śledziliśmy każdy jego ruch. Zwierzę niezręcznie przebierając łapkami obróciło się w naszym kierunku, dotknęło ekranu i... rozplynęło się po nim, zniknęło. Popatrzyliśmy pytająco na siebie.

— Jak to możliwe, Wiktorze Grigoriewiczu?...

Profesor jakby się ocknął ze snu.

— Na co my czekamy? — wykrzyknął. — Przecież ono odpełźnie!

Rzucił się do pulpitu i „cofnął” nas o jakiś metr. Owad leżał na grzbiecie i bezradnie przebierał łapkami w powietrzu. Wreszcie ostrym podrzutem tułowia udało mu się stanąć na nogach. Profesor ostrożnie zmniejszał odległość. Trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć centymetrów... Centymetr... znowu się rozplynęło!

— Co jest, do diabła! — zdenerwował się profesor. — Może nam się tylko wydawało... Nie, nie... Zresztą zaraz to sprawdzimy!

Wybiegł z pokoju i po chwili wrócił z małą latarką w ręce. Skierował na ekran jej wąski skoncentrowany promień. Żółta plamka świetlna przesunęła się po ziemi i dotknęła owada. Zwierzątko się zatrzymało, poruszyło wąsikami, a potem cofnęło. Unikało jaskrawego światła!

— Proszę patrzeć uważnie. Czy jest cień?

Przysunąłem się bliżej ekranu. Promień latarki oświetlił owada. Poza nim zobaczyłem wyraźny cień.

— Jest, Wiktorze Grigoriewiczu!

— Widzę! Oto dowód, że zjawiska elektromagnetyczne nie podlegają ograniczeniom czasowym!

— Ten owad czuje ukierunkowanie światła. Ale czy nas widzi?

— Tak, na pewno!

— Nieprawdopodobne! A te potwory? Czyżby i one?...

— Możliwe...

Przypomniałem sobie dinozaura patrzącego na mnie z głębi ekranu i wzdrygnąłem się na myśl, że byłem nie tylko obserwatorem, ale i obserwowanym.

Po chwili ruszyliśmy w dalszą podróż. Ponure skały pozostały z tyłu. Zbliżaliśmy się do ciemnej ściany lasu. Zdumiałem się ogromem drzew. Nie, to nie były sekwoje. Gigantyczne ciemnoczerwone pnie podobne do polerowanych kolumn, z pękiem wysmukłych liści na szczycie. Grubość pni dochodziła, jak sądzę, do sześciu metrów. Pomiędzy drzewami rosła gęsta, trzymetrowa trawa tworząca gąszcz nie do przebycia. Dla naszego aparatu nie stanowił on jednak żadnej przeszkody, więc z wolna przenikaliśmy przez to zielone kłębowisko. Trawa zdawała się nie mieć końca.

— Proszę spojrzeć — powiedział cicho profesor. — Tam, widzi pan?

Trawa falowała, potrącana przez coś wielkiego. Ostrożnie zbliżaliśmy się do tego miejsca, aż wreszcie ujrzeliśmy wielkie, pokryte łuską cielsko ogromnego węża, płaski łeb i tuż pod nim maleńkie, uwstecznione nóżki. Profesor oświetlił latarką ciało potwora. Wąż się zatrzymał i wolno obrócił w naszą stronę. Cieniutki promyk prześliznął się po jego głowie i zalśnił w głęboko osadzonych oczach. Z paszczęki wyskoczył rozdwojony jęzor i zwierzę rzuciło się w naszą stronę. To było tak nieoczekiwane, że krzyknąłem i obronnym gestem wysunąłem ręce do przodu. Ale straszliwy wróg zniknął i na ekranie znów widać było tylko trawę.

— Uff! — westchnąłem z ulgą. — A gdyby ten gad się tu przedostał?!

— Taak, to by nie było przyjemne — powiedział Worobiov. — Ale na szczęście chroni nas nieprzekraczalna bariera czasu. Miliony lat.

Popatrzył na zegarek.

— O! Dochodzi dziesiąta, a my jeszcze nie włączaliśmy układu przesuwania obrazu w czasie!

Zgasił ekran i przez blisko pięć minut przełączał coś na pulpicie. Aparat cicho pobrzękiwał. Znowu zapalił się ekran i znowu ujrzałem zarysy tych samych pni i liści. Ale tym razem obraz był nieostry, jakby umowny. Zarysy przedmiotów co chwila się zmieniały, prze-suwały, stawały się przezroczyste ukazując jakieś inne widoki. To była pagórkowata okolica pokryta szmaragdową zielenią. Spod niej z kolei wyłaniały się ledwie widoczne sylwetki gór.

I wszystko to się kołysało, płynęło, wibrowało. Porusaliśmy się w tym świetle widzia-deł tak długo, że zacząłem tracić poczucie rzeczywistości. Chwilami obrazy stawały się wyra-źniejsze, ale i one niedługo trwały na ekranie, ustępując miejsca innym mirażom. Oto poja-wiła się górská dolina. Profesor wyciągnął rękę do pulpitu i inne obrazy zaczęły się odwar-stwiać i rozpraszać. Dolina występowała coraz wyraźniej i nad jej zboczami załśniły szczyty z czapami wiecznych śniegów. Górne partie zboczy pokrywała ciemnozielona roślinność iskrząca się w promieniach słońca, natomiast w dole leżał głęboki cień, z którego wystrze-li-wały ku światłu ogromne kwiaty podobne do dziwacznych lilii. Ich białe woskowate kielichy kołysały się na szczytach zielonych trzydziestometrowych pędów. Średnica kwiatu dochodzi-ła do pięciu metrów! Przesuwaliśmy się w dół stoku, gdy nagle ujrzałem skrzydlatą istotę podobną do ogromnego motyla. Stworzenie lekko szybowało w powietrzu prawie nie poru-szając szerokimi skrzydłami z białą otoczką na skrajach. Niby-motyl od czasu do czasu podla-tywał do kwiatu, siadał na nim i składał skrzydła wzdłuż grzbietu. W takiej właśnie pozycji udało się go profesorowi sfotografować. Ale tylko z daleka, gdyż nie mogliśmy się do niego zbliżyć. Profesor się zawziął. Pędziliśmy za dziwnym stworzeniem od kwiatu do kwiatu, ale zawsze, gdy tylko odległość zmniejszała się do jakichś pięciu metrów, zwierzę wzlatywało i znikało z pola widzenia.

— Nie mogę już dłużej — poskarżył się Worobiov. — To diabelskie nasienie zamęczy-ło mnie na śmierć!

Przerwaliśmy beznadziejną pogoń i ruszyliśmy dalej. Zagłębiliśmy się w góry. Ani żywego ducha! Profesor znów włączył obwód czasowy. Aparat zabrzączał, skały zrobiły się przezroczyste i spoza nich błysnęła tafla wody, za którą również coś majaczyło. Znowu byli-śmy w świetle widziadeł.

Nagle naszą uwagę przyciągnął przedmiot, którego najmniej się w takim miejscu spo-dziewaliśmy. To był błyszczący metalowy stożek wyraźnie widoczny na tle zmiennych, mgli-stych obrazów. W jego wypolerowanej powierzchni odbijało się światło słoneczne.

— A cóż to znowu takiego?! — wykrzyknął profesor i szybko wyłączył układ zmiany czasu. Na ekranie pojawił się piękny lesisty krajobraz. Stożek zniknął bez śladu!

— A niech cię! — Worobiov spojrzał pytająco na mnie. — Rozumie pan coś z tego?

— Nic a nic!...

— Ja też. Ale zaraz spróbujemy to wyjaśnić...

Znowu na ekranie zamigotały miraże, a na ich tle zadziwiająco wyraźny obraz metalo-wego stożka.

— Wiktorze Grigoriewiczu, może to jakaś część aparatu rzutuje się na ekran?

— W przyrządzie niczego podobnego nie ma.

— A więc co to jest?...

— Nie wiem...

Aparat rozregulował się od częstego przełączania i trzeba go było zgasić. Ekran pociemniał. Profesor zapalił światło. Milczeliśmy.

Była późna noc. Wstałem z fotela i podszedłem do swego gospodarza.

— Wiktorze Grigoriewiczu! Dziękuję za niezapomniane przeżycie!

— Po cóż ten patos?! Proszę przyjechać na przyszły rok i znowu mnie odwiedzić...

— Gdy tylko będę mógł. Chciałbym jeszcze raz przenieść się w przeszłość. Może nam się uda odbyć prawdziwą podróż w czasie...

— Nie, to niemożliwe! — powiedział profesor. — Ciało ludzkie nie zdoła pokonać bariery czasu. Tak. Ale dość już o tym... Niech pan do mnie napisze, drogi imienniku, i możliwie prędko odwiedzi.

Pożegnałem się serdecznie i wyszedłem. Zamknęły się za mną drzwi prowadzące do cudownego świata. Na zawsze, jak się później okazało.

Minął rok, który w całości poświęciłem na pisanie pracy kandydackiej. Raz tylko udało mi się napisać do Worobiowa i zawiadomić go, że niestety nie będę mógł przyjechać.

Wkrótce nadeszła odpowiedź.

„Bardzo żałuję — pisał profesor — że się w tym roku nie spotkamy. Cóż robić?! Życzę panu udanej obrony. Proszę; mi przysłać autoreferat. Chętnie go przejrzę. Mam wiele czasu, bo lekarze zabronili wychodzić mi z domu. Ale to nie znaczy, że zaprzestałem doświadczeń! Wiele myślałem i doszedłem do pewnych wniosków... Proszę się nie lękać! Nie będę pana zanudzał długimi wywodami. Czy pan pamięta nasze ostatnie obserwacje? Otóż chyba rze-czywiście oglądaliśmy nie przeszłość Ziemi, lecz teraźniejszość innej planety...

Mam nadzieję, że niedługo przyjedzie pan do Leningradu, spotkamy się i podyskutujemy na ten temat... To chyba już wszystko... Chociaż nie! Muszę się przyznać, że planuję pewne doświadczenie. Nie powiem na razie jakie, wspomnę tylko, że trochę z nim zwlekam, bo wydaje mi się niezbyt bezpieczne. Pański W.G. Worobiov”.

W kopercie listu znalazłem jeszcze barwne zdjęcie białej lilii i siedzącego na jej kielichu owada ze złożonymi skrzydłami. W dalekim tle majaczyły ośnieżone szczyty gór.

Natychmiast odpisałem profesorowi, a trzy miesiące później wysłałem swój autoreferat. Nie otrzymałem jednak żadnej odpowiedzi. Po obronie pracy kandydackiej, która, nawiasem mówiąc, poszła mi całkiem dobrze, znowu napisałem do Worobiowa. I znowu żadnej reakcji! Zaniepokojony tym milczeniem poprosiłem mego uniwersyteckiego kolegę, mieszkającego w Leningradzie, aby zaszedł do profesora i dowiedział się o jego zdrowie. I oto leży przede mną numer „Wieczornego Leningradu”, w którym znalazłem taki oto tekst:

„10 sierpnia o godzinie 8 rano obywatelka Kotowa, gospodyni prof. Worobiowa, znalazła zwłoki swojego pracodawcy w niewielkim pokoiku sąsiadującym z jadalnią. Przerażona niewiasta wezwała równocześnie milicję i pogotowie ratunkowe.

Lekarz pogotowia ratunkowego niestety nie miał już nic do roboty. Profesor siedział martwy w fotelu przed ekranem urządzenia przypominającego telewizor. Głowę miał nienaturalnie odwróconą do tyłu, a na twarzy zastygły wyraz przerażenia. Czoło i szyję pokrywały mu drobniutkie brunatne plamki. Zdaniem eksperta z milicyjnej grupy dochodzeniowej Worobiov zmarł gwałtowną śmiercią około drugiej w nocy, sposób morderstwa pozostaje jednak na razie zagadką.

Oględziny mieszkania nie dały żadnych wyników. Znalaziono jedynie strzępek papieru, na którym profesor zanotował w widocznym pośpiechu: «Zdaje się, że chwytam

kontakt. Oni mnie widzą. Raz kozie śmierć, spróbuję!...» Specjalna komisja bada przeznaczenie tajemniczego aparatu. Śledztwo w toku”.

Przełożył *Tadeusz Gosk*

JACK FINNEY
TWARZ Z FOTOGRAFII

Na jednym z górnych pięter nowego Pałacu Sprawiedliwości odnalazłem pokój pod wskazanym numerem. Młoda i ładna dziewczyna spojrzała na mnie znad maszyny do pisania, obdarzyła mnie służbowym uśmiechem i spytała:

— Czy profesor Weygand?

Było to pytanie retoryczne, gdyż jedno spojrzenie na mnie wystarczyło jej za odpowiedź. Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, żałując, że mam na sobie mój „profesorski” garnitur, a nie ubranie typu „zabaw się w San Francisco”.

— Inspektor Ihren rozmawia przez telefon, proszę chwilę zaczekać — powiedziała sekretarka.

Skinąłem głową i usiadłem, uśmiechnąwszy się z godnością, jak przystało na profesora.

Moje nieszczęście polegało na tym, że chociaż mam szczupłą, skupioną twarz intelektualisty, wyglądam za młodo na swoje stanowisko. Trudno uwierzyć, że jestem profesorem fizyki na dużym uniwersytecie. Na szczęście włosy mi nieco przedwcześnie posiwiały... Poza tym na terenie uczelni zazwyczaj noszę te żalosne, workowate tweedowe ubrania — etatowy strój uniwersyteckich wykładowców. Te garnitury, okrągłe okulary w metalowej oprawie i kolekcja krawatów w zdechłych odcieniach składają się na obraz typowego profesora.

Rozejrzałem się po pokoju: żółte ściany, wielki kalendarz, kartoteki, biurko, maszyna do pisania i dziewczyna. Patrzyłem na nią tak, jak patrzę na niektóre z moich bardziej kształtnych studentek — spod oka i z ojcowskim uśmiechem, przygotowanym na wypadek, gdyby moje spojrzenie zostało przechwycone. Najbardziej jednak miałem ochotę wyjąć z kieszeni list inspektora Ihrena i przeczytać go raz jeszcze w nadziei znalezienia w nim choćby cienia wskazówki, po co zostałem wezwany. Ponieważ jednak odczuwam zawsze lęk przed policją — nawet kiedy mam spytać policjanta o ulicę — więc pomyślałem, że czytając list zdradzę swoje zdenerwowanie przed sekretarką, która z kolei da jakiś tajny znak inspektorowi. Właściwie i tak pamiętałem treść listu. Było to urzędowo grzeczne zaproszenie, adresowane na uniwersytet, abym przybył na spotkanie z inspektorem Martinem O. Ihrenem, „jeśli będę tak uprzejmy”, „bardzo prosimy” itd. Właśnie zastanawiałem się, co by było, gdybym równie uprzejmie odmówił, kiedy odezwał się brzęczyk i dziewczyna powiedziała:

— Pan inspektor prosi.

Wstałem, nerwowo przełknąłem ślinę i otworzyłem drzwi do sąsiedniego pokoju. Inspektor podniósł się zza swojego biurka powoli i niechętnie, jakby nie był pewien, czy wkrótce nie będzie musiał wtrącić mnie do więzienia. Wyciągnął dłoń niechętnie i bez uśmiechu powiedział:

— Cieszę się, że pan przyszedł.

Usiadłem przed jego biurkiem i pomyślałem, że wiem, co by się stało, gdybym nie skorzystał z zaproszenia tego człowieka. Po prostu wkroczyłby do sali wykładowej,

zatrzasnął mi na rękach kajdanki i zaciągnął mnie tutaj. Nie chcę przez to powiedzieć, że jego twarz była odrażająca lub wyróżniała się czymś szczególnym — była dość pospolita. Podobnie zresztą jak jego rude włosy i szary garnitur. Inspektor był młodym jeszcze człowiekiem, nieco wyższym i potężniejszym ode mnie. Jego oczy miały taki wyraz, jakby nie interesował się niczym na świecie poza swoją pracą. Byłem przekonany, że oprócz kronik kryminalnych nie czytał niczego, nawet tytułów w gazetach, że jest inteligentny, bystry, ale oschły i pozbawiony poczucia humoru, że styka się wyłącznie z innymi policjantami i że nie ma o nich zbyt wysokiego mniemania. Był pospolity w stopniu niezwykłym i czułem, że mój uśmiech wypada blado.

Przystąpił od razu do rzeczy. Widocznie częściej miał do czynienia z przestępcami niż z ludźmi z towarzystwa.

— Nie możemy odnaleźć kilku osób i wydaje mi się, że pan może nam pomóc.

Wyraziłem swoje zdumienie, lecz on nie zwrócił na to uwagi.

— Jeden z nich pracował w restauracji Haringa. Zna pan ten lokal, jada pan tam od lat. Facet był kelnerem i zniknął po dwóch dniach świąt z całym utargiem — prawie pięć tysięcy dolarów. Zostawił list, w którym napisał, że lubił ten lokal i że pracowało mu się przyjemnie, ale że od dziesięciu lat płacili mu mniej, niż mu się należało, i że teraz będą kwita. Facet z oryginalnym poczuciem humoru, można powiedzieć.

Ihren odchylił się na swoim fotelu i spojrzał na mnie spod oka.

— Nie możemy go odnaleźć. Szukamy go od roku, ale wszelki ślad po nim zaginął.

Pomyślałem, że wypada coś powiedzieć i bąknąłem:

— Może przeniósł się do innego miasta i zmienił nazwisko.

Ihren wyglądał na zaskoczonego, jakbym powiedział coś głupszego, niż można było oczekiwać.

— To by mu się na nic nie przydało! — powiedział poirytowany.

Miałem już dość tego uczucia strachu i powiedziałem odważnie:

— Dlaczegoż to?

— Ludzie nie kradną po to, żeby zakopać lub przechować łup, ludzie kradną pieniądze po to, żeby je wydawać. Forsa mu się dawno skończyła, czuje się zapomniany i musiałyby znowu zacząć pracować jako kelner. — Zrobiłem widocznie sceptyczną minę, bo Ihren potwie-rdził: — Oczywiście że jako kelner. To jedyne, co on potrafi. Pamięta pan Johna Carradina, aktora filmowego? Widziałem go w wielu filmach. Miał właśnie taką charakterystyczną końską twarz jak nasz facet.

Skinąłem głową i Ihren obrócił się ze swoim fotelem w stronę kartotek. Otworzył kopertę, wyjął z niej arkusz papieru i położył przede mną. Był to list gończy i chociaż zdjęcie niezbyt przypominało fotos aktora filmowego, to niezwyklej długości szczeka nie mogła budzić wątpliwości.

Ihren powiedział:

— Mógł się przeprowadzić i zmienić nazwisko, ale tej twarzy nie można zmienić. Gdziekolwiek jest, powinien być odnaleziony już kilka miesięcy temu. Ten list rozesłaliśmy wszędzie.

Wzruszyłem ramionami, a Ihren znowu sięgnął do kartoteki. Tym razem wręczył mi starą brązową fotografię wykonaną na grubym kartonie. Było to zdjęcie grupowe, jakich się już dzisiaj nie robi — wszyscy pracownicy małej firmy ustawieni na chodniku przed wej-ściem. Było tam ze dwanaście osób — mężczyźni z wąsami i kobiety w długich sukniach uśmiechali się i mrużyli oczy w słońcu przed małym budynkiem, który od razu rozpoznałem. Restauracja Haringa niewiele się zmieniła od tamtych czasów.

— Ta fotografia wisiała na ścianie w lokalu — powiedział Ihren. — Myślę, że od lat nikt się jej dobrze nie przyjrzał. Ten gruby facet w środku to pierwszy właściciel, który

otwo-rzył interes w 1885 roku. Z tego okresu pochodzi to zdjęcie. Nikt nie zna nazwisk pozostałych osób, ale niech pan się dobrze przyjrzy twarzom.

Przyjrzałem się i zrozumiałem, o co mu chodzi. Na starej fotografii była ta sama zadziwiająco długa twarz co na liście gończym. Spojrzałem na Ihrena.

— Kto to jest? Jego ojciec? Dziadek?

— Być może — powiedział inspektor. — W każdym razie wygląda na faceta, którego szukamy. I niech pan spojrzy, jak on szczerzy zęby! Jakby specjalnie przyjął pracę w tej samej restauracji i zamelinował się w roku 1885, żeby wyśmiewać się ze mnie!

— Panie inspektorze, jest pan bardzo interesującym rozmówcą, żeby nie powiedzieć wręcz zabawnym. Słuchałem pana z najwyższą uwagą, i nigdzie się nie śpieszę, ale naprawdę nie widzę powodu...

— Jest pan profesorem, prawda? A profesorowie są podobno piekielnie inteligentni. Szukam pomocy wszędzie, gdzie się da. Mamy kilka podobnych przypadków. Zaginęli ludzie, którzy powinni być dawno odnalezieni, i to z łatwością. Jednym z nich jest William Spangler Greeson. Czy słyszał pan o nim?

— Oczywiście. Czy można w San Francisco o nim nie słyszeć?

— No tak, człowiek z elity towarzyskiej. Czy wiedział pan, że on nie miał ani grosza własnych pieniędzy?

Wzruszyłem ramionami.

— Skąd mogłem wiedzieć. Myślałem, że on jest bogaty.

— To jego żona jest bogata. Pewnie dlatego się z nią ożenił. Chociaż podobno to ona go uwodziła. Jest od niego dużo starsza. Rozmawiałem z nią, bardzo niesympatyczna baba. A on jest młody, przystojny i leniwy, więc się z nią ożenił.

— Czytałem coś na jego temat, zdaje się w związku z teatrem?

— Tak, całe życie marzył o scenie. Kiedy się ożenił, żona dała mu pieniądze, które zainwestował w jakieś przedstawienie w Nowym Jorku. Jeździł tam często na próby i był w swoim żywiole. A potem zaczął nawiązywać przyjaźnie z niektórymi członkami zespołu, głównie płci żeńskiej. Żona ukarała go natychmiast. Ściągnęła go tutaj i odtąd nie dawała mu ani grosza na teatr. Za to, że był niegrzeczny, nie mógł sobie nawet kupić biletu na przedstawienie. I pewnego dnia znikł, zabierając jej sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Przepadł jak kamień w wodę, a przecież wiadomo, że on nie potrafi, po prostu nie potrafi trzymać się z daleka od teatru. Powinien już dawno temu pokazać się w Nowym Jorku. Pod fałszywym nazwiskiem, z farbowanymi włosami, z wąsami, ale powinniśmy go już dawno mieć. Tymczasem on także gdzieś znikł... Mam nadzieję, że pan rzeczywiście ma trochę czasu, ponie-waż umówiłem się również w pańskim imieniu na Powell Street, w pobliżu Embarcadero. Chodźmy.

Inspektor podniósł się z za biurka biorąc ze sobą dużą kopertę z nadrukiem nowojorskiej policji. Ruszył do drzwi nie oglądając się, jakby był pewien, że pójdę za nim. Kiedy już byli-śmy na ulicy, powiedział:

— Możemy wziąć taksówkę. Ponieważ, jestem z panem, będę mógł wstawić to do rachunku. Kiedy byłem tam sam, jechałem kolejką.

— W taki dzień jak dzisiaj trzeba być szaleńcem albo policjantem, żeby brać taksówkę, kiedy można jechać kolejką.

— Okay — powiedział Ihren — zabawmy się więc w turystów.

W milczeniu doszliśmy do przystanku. Kolejka właśnie zawracała na pętli i udało nam się zająć miejsca siedzące na pomoście. Kolejka ruszyła powoli ulicą Powella. Było pięknie, dużo słońca, błękitne niebo — typowy letni dzień w San Francisco. Na Ihrenie nie robiło to jednak wrażenia, z równym powodzeniem mógłby się znajdować w

zatłoczonym metrze w Nowym Jorku.

— Więc gdzie jest ten William Spangler Greeson? — zaczął, gdy tylko wykupiliśmy bilety. — Napisałem do policji w Nowym Jorku, żeby na parę godzin wysłali człowieka do miejskiego muzeum historycznego.

Inspektor otworzył kopertę, wyjął kilka złożonych arkuszy papieru i wręczył mi jeden z nich. Była to fotografia starego afisza.

— Słyszał pan kiedyś o takiej sztuce? — spytał Ihren czytając mi przez ramię. — „Dzisiaj i przez cały tydzień! Siedem galowych przedstawień!” A poniżej wielkimi literami: „Wujaszek Mable Greenhorn”.

— Oczywiście, że słyszałem, to chyba Shakespeare — odpowiedziałem.

— Niech pan schowa dowcipy dla swoich studentów i niech pan lepiej przeczyta obsadę.

Przeczytałem długą listę nazwisk. W dawnych sztukach na scenie było prawie tyle samo osób co na widowni. Na samym dole listy, gdzie wyliczano nazwiska statystów, figurowało nazwisko Williama Spanglera Greesona.

— Ta sztuka szła w 1906 — powiedział Ihren. — A oto inna, z 1901.

Wręczył mi drugą fotokopię, wskazując na ostatnią pozycję obsady: widzowie na wyścigach. Między innymi było tam nazwisko Williama Spanglera Greesona.

— Mam kopie jeszcze dwóch afiszów, z 1902 i z 1904 roku, obydwaj z jego nazwiskiem.

W miejscu, gdzie kolejka skręca z ulicy Powella, wysiedliśmy i dalej szliśmy pieszo. Zwracając inspektorowi fotokopię powiedziałem:

— To musi być jego dziadek. Zapewne Greeson odziedziczył po nim zamiłowanie do teatru.

— Czy nie za dużo tych dziadków, profesorze — powiedział Ihren chowając fotokopie do koperty.

— A jak pan sądzi, inspektorze?

— Wkrótce się pan przekona.

Szliśmy dalej w milczeniu. Przed nami, u wylotu ulicy Powella, otwierał się widok na skąpaną w promieniach słońca zatokę, lecz inspektor nawet nie podniósł oczu. Kiedy przechodziliśmy koło niskiego betonowego budynku, wskazał gestem drzwi. Widniał na nich napis: Studio nr 16. Reklama telewizyjna. Przeszliśmy przez małe biuro, w którym nie było żywej duszy, potem przez wielką salę, gdzie cieśla montował dekorację — frontową ścianę chaty. Następnie inspektor, który widocznie był tu nie po raz pierwszy, otworzył podwójne drzwi i znaleźliśmy się w małej salce projekcyjnej. Był tam ekran i około dwustu miejsc siedzących. Z budki projekcyjnej odezwał się głos:

— Czy to pan, inspektorze?

— Tak. Czy wszystko gotowe?

— Za chwilę. Tylko przewinę taśmę.

Ihren wskazał mi krzesło i usiadł koło mnie.

— Był tu w naszym mieście typ nazwiskiem Tom Veeley, zwariowany kibic sportowy. Chodził na wszystkie mecze bokserskie i piłkarskie, na wszystkie wyścigi samochodowe i konne — i zawsze miał tysiące uwag pod adresem organizatorów. Zналиśmy go, ponieważ od czasu do czasu uciekał od żony. Znikał wtedy z domu, a żona zgłaszała do policji skargę, że mąż ukrywa się i nie łoży na utrzymanie. Nigdy nie udawało mu się zniknąć na dłużej. I nawet kiedy go przyłapywaliśmy, mówił tylko o tym, że sport umiera, że ani publiczność, ani gracze nie wykazują zapału i że chciałby żyć w złotym okresie sportu. Czy rozumie pan, do czego zmierzam?

Skinąłem głową. W tym momencie w sali zgasło światło. Na ekranie pojawił się

film. Obraz był czarno-biały, ruchy postaci szybkie i podrygujące. Jedynym dźwiękiem był szum aparatu projekcyjnego. Pokazano nam mecz w baseball na stadionie Yankee. Nastąpiło zbliżenie — na boisku stał Babe Ruth z kijem na ramieniu. Wziął potężny zamach, trafił piłkę i śledząc jej lot ruszył biegiem. Na ekranie pojawił się napis: „Babe Ruth w akcji!” Dalsze napisy głosiły, że jest to jego pięćdziesiąte pierwsze zwycięstwo w sezonie 1927 i że prawdopodobnie ustanowi on nowy rekord światowy.

Potem ukazały się jakieś cyfry i napisy. Ihren wyjaśnił:

— Studio filmowe zorganizowało nam ten pokaz za darmo. Korzystają z naszej pomocy, kiedy kręcą filmy o policjantach i złodziejach.

Nagle na ekranie pojawił się Jack Dempsey na ringu. Obraz był marny, lecz nie ulegało wątpliwości, że to był Dempsey, młody i nie ogolony. W czasie przerwy kamera ukazywała twarze widzów w słomkowych kapeluszach i sztywnych kołnierzykach. Potem, wśród dziwnej ciszy, Dempsey zerwał się i ruszył skulony na środek ringu do walki z olbrzymim, powolnym przeciwnikiem. Chyba był to Jess Willard; Film urwał się gwałtownie.

— Przejrzałem kilometry takich taśm — odezwał się Ihren — i znalazłem trzy zdjęcia. Teraz ostatni kawałek.

Na ekranie ukazał się gracz na polu golfowym, otoczony widzami. Gracz uśmiechnął się i wykonał kilka wstępnych ruchów kijem; ubrany był w tak zwane „pumpy” za kolana i uczesany z przedziałką pośrodku głowy. Poznałem w nim Bobby Jonesa, jednego z naj-słynniejszych graczy świata. Szczyt jego kariery przypadał na lata dwudzieste. Jones uderzył piłkę, która wtoczyła się do ostatniego otworu. Tłum kibiców wpadł na boisko, cały tłum — z wyjątkiem jednego mężczyzny, który uśmiechnięty szedł wprost na kamerę, potem zatrzymał się, zdjął czapkę z daszkiem i uklonił się wprost do kamery. Kamera ominęła go, aby śledzić Jonesa, który właśnie wyjmował piłkę z dołka. Po chwili Jones ruszył dalej i człowiek, który się nam kłaniał, poszedł za nim wraz z tłumem widzów. Nagle film się urwał i zabłysło światło. Ihren odwrócił się do mnie.

— To był Veeley — powiedział — i niech pan nie próbuje wmawiać we mnie, że to jego dziadek. Nie było go jeszcze na świecie, kiedy Bobby Jones był mistrzem golfa, ale i tak twierdzę kategorycznie, że to był Tom Veeley, kibic z San Francisco, który zniknął sześć miesięcy temu.

Zrobił wyczekującą pauzę, ale ja milczałem, bo cóż miałem mu odpowiedzieć?

Ihren ciągnął dalej.

— On również siedział na wprost kamery na meczu Rutha, chociaż jego twarz była w cieniu. I wydaje mi się, że to on jest jednym z widzów na meczu Dempseya, ale tego nie jestem pewien.

Drzwi do budki projekcyjnej otworzyły się i mechanik zapytał:

— Czy to wszystko na dzisiaj, panie inspektorze?

Ihren kiwnął głową. Mechanik widząc mnie powiedział: „Dzień dobry, profesorze” i wyszedł.

Ihren spojrzał na mnie.

— Tak, on pana pamięta, profesorze. W zeszłym tygodniu, kiedy wyświetlał te stare kroniki dla mnie i doszliśmy do taśmy z Bobby Jonesem, przypomniał sobie, że niedawno wyświetlał już ten film dla kogoś. Spytałem go, dla kogo, i podał pańskie nazwisko. Coś mi się wydaje, że my dwaj jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy interesują się tym kawałkiem starej taśmy. Dlatego więc zasięgnąłem danych o pańskiej osobie; jest pan zastępcą profesora fizyki i ma pan doskonałą opinię. Nie był pan karany sądownie, co również mi nic nie mówi, ponieważ większość ludzi nie jest karana, chociaż co najmniej połowa na to zasługuje. Potem sprawdziłem prasę i w gazecie „Chronicle” w

archiwach znaleźli notatkę o panu.

Ihren wstał.

— Proponuję, żebyśmy stąd wyszli.

Inspektor zmierzał w stronę zatoki, a ja podążyłem za nim. Doszliśmy do końca ulicy, gdzie zaczynało się drewniane molo. Tuż koło nas przepływał wielki tankowiec, lecz Ihren nie patrząc na statek usiadł na drewnianym pachołku i wskazał mi sąsiedni. Potem wyjął z portfela wycinek z gazety.

— Tutaj piszą, że wystąpił pan na spotkaniu Amerykańsko-Kanadyjskiego Towarzystwa Fizycznego w czerwcu 1961 roku w Hotelu Fairmont.

— Czy to jest przestępstwo?

— Nie wiem, nie słucałem pańskiego odczytu. Mówił pan na temat „Niekórych fizycznych aspektów czasu”, lecz przyznaję, że dalszego ciągu notatki nie rozumiem.

— Był to dość specjalistyczny odczyt.

— Z tego wszystkiego rozumiem jednak, że uważa pan za możliwe wysłanie człowieka w przeszłość.

Uśmiechnąłem się.

— Wiele ludzi tak uważa, Einstein też był tego zdania. Jest to dosyć popularna teoria. Ale to wszystko, inspektorze — tylko teoria.

— Więc pomówmy o czymś, co jest nie tylko teorią. Od roku San Francisco stało się doskonałym rynkiem dla starych pieniędzy; dowiedziałem się o tym zupełnie niedawno. Wszystkie sklepy prowadzące sprzedaż starych monet i banknotów zauważyły nowych, dziwnych nabywców, którzy nie podawali swoich nazwisk i nie troszczyli się o stan starych pieniędzy. Im bardziej były brudne i pomięte, tym bardziej im się podobały. Jednym z kupujących, mniej więcej przed rokiem, był mężczyzna z bardzo charakterystyczną, długą twarzą. Kupił banknoty i kilka monet; wymagał tylko, aby były wydane przed rokiem 1885. Innym klientem był przystojny i sympatyczny młody człowiek, który szukał banknotów z początku stulecia. I tak dalej. Czy wie pan, dlaczego przyprowadziłem pana tutaj, na wybrzeże?

— Nie.

Inspektor wskazała na puste molo za naszymi plecami.

— Ponieważ jesteśmy tutaj zupełnie sami, bez świadków. Niech mi pan powie, profesoro — i tak nie będę mógł zrobić z tego użytku służbowego — jak pan to, do diabła, robi? Na pewno miał pan ochotę komuś o tym powiedzieć, więc przypuśćmy, że tym kimś będę ja.

Tym ostatnim zdaniem zaskoczył mnie. Rzeczywiście miałem ochotę opowiedzieć komuś o wszystkim. Szybko, zanim zdążyłem się rozmyślić, powiedziałem;

— Używam małej czarnej skrzyneczki z mosiężnym przełącznikiem.

Przez kilka sekund obserwowałem biały kuter Straży Przybrzeżnej wyłaniający się zza Wyspy Aniołów, potem wzruszyłem ramionami i odwróciłem się z powrotem do inspektora.

— Ale pan przecież nie jest fizykiem, jak mam to panu wytłumaczyć? Powiem tylko, że wysłanie ludzi w przeszłość jest naprawdę możliwe. I dużo łatwiejsze, niż ktokolwiek z teoretyków przypuszczał. Reguluję przełączniki i tarcze, nastawiam czarną skrzynkę na dany przedmiot, podobnie jak aparat fotograficzny. Potem — tutaj znowu wzruszyłem ramionami — włączam słaby, precyzyjnie kierowany strumień energii elektrycznej o szczególnych właściwościach. I podczas działania aparatu przedmiot lub człowiek znajdujący się w strumieniu energii... jak by to powiedzieć?... jest poza czasem, który biegnie obok niego. Obliczyłem, że kiedy człowiek znajduje się w stanie takiego zawieszenia, przeszłość dogania go z szybkością dwudziestu trzech lat i

jedenastu tygodni na każdą sekundę działania aparatu. Używając sto-pera mogę wysłać człowieka w wybrany przez niego okres z dokładnością do trzech tygodni. Wiem, że to się sprawdza, ponieważ Tom Veeley jest tylko jednym z wielu przykładów. Wszyscy wysłani przeze mnie starają się dać mi jakoś znać, że przybyli bezpiecznie. Veeley powiedział, że postara się trafić do kroniki filmowej ze zwycięskiego meczu Jonesa. Przeglądałem tę kronikę w zeszłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy mu się to udało.

Inspektor kiwnął głową.

— W porządku. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego pan to robi? To są przestępcy i pan dopomógł im w ucieczce.

— Nie, panie inspektorze. Nie wiedziałem, że oni są przestępcami. Oni mi tego nie mówili. Wydawali mi się sympatycznymi ludźmi, którzy znaleźli się w tarapatkach. A robiłem to, ponieważ tak jak lekarz, który odkrywa nową szczepionkę, potrzebowałem ochotników do eksperymentu! I zdobyłem ich. Nie tylko pan przeczytał to sprawozdanie z mojego odczytu.

— Gdzie pan to robił?

— Na plaży, w pobliżu Cliff Mouse. W nocy, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

— Dlaczego właśnie tam?

— Istnieje niebezpieczeństwo, że wysłany w przeszłość człowiek może pojawić się w miejscu już zajętym przez jakiś przedmiot, na przykład kamienną ścianę lub budynek. W takim wypadku atomy jego ciała pomieszałyby się z atomami tamtego przedmiotu, co byłoby wysoce nieprzyjemne. Plaża jest miejscem, gdzie nigdy nie stały żadne budynki. Oczywiście poziom piasku mógł być w przeszłości nieco wyższy, więc na wszelki wypadek ustawiałem każdego z nich na wieży ratownika, w ubraniu dostosowanym do epoki, w którą się wybierał, i z odpowiednimi pieniędzmi w kieszeni. Nastawiałem aparat starannie, tak aby usunąć z pola widzenia samą wieżę, włączałem prąd na odpowiedni okres czasu i facet lądował na plaży pięćdziesiąt, siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu.

Przez chwilę inspektor siedział w milczeniu, wpatrując się pustym wzrokiem w deski pomostu. Nagle spojrział na mnie i energicznym ruchem zatarł dłonie.

— W porządku, profesorze. A teraz sprowadzi pan ich wszystkich z powrotem.

Potrząsnąłem głową, na co inspektor uśmiechnął się zjadliwie i powiedział:

— Musi pan ich sprowadzić albo zniszczyć pańską karierę. Sam pan wie, że mogę to zrobić. Powiem to wszystko, co powiedziałem panu, wykażę powiązania. Każdy z poszukiwanych odwiedzał pana. Na pewno kogoś z nich widziano. Może nawet widziano was na plaży. Po czymś takim nigdy już nie dostanie pan pracy na uniwersytecie.

Potrząsnąłem głową raz jeszcze i inspektor rzucił z pogrózką:

— Więc nie chce pan?

— Nie mogę! Jak u diabła mam się do nich dostać? Przecież oni żyją w roku 1885, 1908 czy 1927. Sprowadzenie ich jest niemożliwe. Oni uciekli panu na zawsze. Słyszysz pan, na zawsze!

Ihnen wyraźnie zbladł.

— Nie! — krzyknął. — To niemożliwe. Oni są przestępcami i muszą ponieść karę.

Byłem zaskoczony.

— Ale dlaczego? Nikt z nich nie wyrządził nikomu wielkiej krzywdy. I dla nas oni przestali istnieć. Niech pan o nich zapomni.

Inspektor zacisnął zęby.

— Nigdy — wyszeptał. I nagle ryknął: — Nigdy nie zapomnę o poszukiwanym przestępcy!

— Tak jest, Javert.

— Kto?

— Taki wymyślony policjant z powieści pod tytułem *Nędznicy*. Poświęcił pół życia na ściganie człowieka, do którego nikt już nie miał pretensji.

— Bardzo dobrze. Chciałbym go mieć w swoim wydziale.

— Większość nie ma o nim zbyt wysokiego mniemania.

— A ja mam!

Inspektor Ihren zaczął uderzać pięścią w kolano. „Oni muszą być ukarani” — mruczał raz po raz. Potem spojrzał na mnie.

— Niech się pan stąd wynosi! — krzyknął. — I to szybko!

Skwapliwie skorzystałem z jego propozycji. Kiedy się obejrzałem, już z daleka, wciąż siedział w tej samej pozycji i uderzał pięścią w kolano.

Sądziłem, że widzę go po raz ostatni, lecz stało się inaczej: ujrzałem go raz jeszcze. Mniej więcej po dziesięciu dniach zadzwonił do mnie — a właściwie rozkazał — abym przy-szedł z moim aparatem. Poszedłem, mimo że już szykowałem się do snu; inspektor nie był człowiekiem, któremu można łatwo odmówić. Kiedy zjawiłem się przed Pałacem Sprawie-dliwości, czekał już w bramie i bez słowa wskazał mi na stojący przy chodniku samochód. Wsiedliśmy i w milczeniu pojechaliśmy do cichej i spokojnej dzielnicy. Stanęliśmy w świetle ulicznej latarni i Ihren odezwał się:

— Od czasu naszego spotkania dużo myślałem i przeprowadziłem pewne badania. Pokazał mi skrzynkę pocztową na rogu.

— Jest to jedna z trzech skrzynek pocztowych w San Francisco, które są w tym samym miejscu od dziewięćdziesięciu lat. Oczywiście skrzynki mogły się zmieniać, ale zawsze były w tym samym miejscu. A teraz wyślemy kilka listów.

Inspektor wyjął z kieszeni płaszcza paczkę listów zaadresowanych i ze znaczkami. Pokazał mi pierwszy z nich, wsuwając resztę z powrotem do kieszeni.

— Widzi pan, do kogo jest ten list? — spytał.

— Do naczelnika policji.

— Tak jest. Do naczelnika policji San Francisco w roku 1885! Na kopercie jest jego nazwisko, adres i znaczek z tamtego okresu. Podejdę do skrzynki pocztowej i będę trzymał ten list w otworze. Pan nastawi swój aparat na kopertę, włączy prąd i list wpadnie do skrzy-nki, która stała tutaj w roku 1885.

Pokręciłem głową z podziwem; to było bardzo pomysłowe.

— Co jest w tym liście? — spytałem.

Inspektor uśmiechnął się złośliwie.

— Powiem panu, co w nim jest. Od czasu naszego spotkania wszystkie wolne chwile spędzałem na czytaniu starych roczników gazet w bibliotekach. W grudniu 1884 dokonano napadu i zrabowano kilka tysięcy dolarów; w następnych miesiącach nie znalazłem niczego, co by świadczyło, że sprawców ujęto. — Tu podniósł kopertę. — Ten list sugeruje policji, aby sprawdzono człowieka z długą twarzą, który pracuje w restauracji Haringa. I że jeśli przeszukają jego pokój, to znajdą kilka tysięcy dolarów, których pochodzenia nie będzie mógł wyjaśnić. I jeszcze coś: facet absolutnie nie będzie potrafił powiedzieć, co robił w dniu napa-du w roku 1884!

Inspektor uśmiechnął się, jeśli jego grymas można nazwać uśmiechem.

— To wystarczy, żeby go wysłali do San Quentin i zamknęli sprawę. W tamtych cza-sach nie patyczkowano się z przestępcami.

— Ależ on nie jest winny! — krzyknąłem przerażony. — On tego nie zrobił!

— Za to zrobił co innego. I musi być ukarany. Nie pozwolę mu uciec, nawet w prze-szłość.

— A pozostałe listy?

— Może się pan domyślić. Każdy list dotyczy kogoś z tych, którym pomógł pan uciec, jest adresowany do policji w odpowiednim miejscu i czasie. Pan pomoże mi je wysłać, wszystkie co do jednego. W przeciwnym razie zniszczę pana, może pan być tego pewien.

Po tych słowach inspektor otworzył drzwiczki, wysiadł z auta i podszedł do skrzynki nie oglądając się za siebie.

Przypuszczam, że znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że powinienem odmówić użycia swojego aparatu bez względu na konsekwencje. Być może rzeczywiście powinienem tak po-stąpić, lecz zrobiłem inaczej. Inspektor był zdecydowany spełnić swoją groźbę — co do tego nie miałem wątpliwości — a ja nie miałem ochoty na to, żeby mnie zniszczono. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy: prosiłem i błagałem. Wysiadłem z auta z aparatem. Inspektor czekał przy skrzynce.

— Błagam, niech mnie pan do tego nie zmusza! To naprawdę nie jest konieczne. Chyba nikomu pan o tym nie mówił?

— Oczywiście, że nie. Wyśmiano by minie w policji.

— Więc niech pan o tym zapomni. Po co tropić tych biednych ludzi? Oni nie są wielkimi przestępcami, nikomu nie zrobili krzywdy. Niech pan będzie człowiekiem! Pańskie poglądy są sprzeczne z tendencjami współczesnego systemu penitencjarnego!

Przerwałem, aby zaczerpnąć tchu, a on powiedział:

— Skończył pan? Mam nadzieję, że tak, bo nic nie zmieni mojej decyzji. A teraz niech pan nastawia to swoje cholerne pudełko!

Westchnąłem i zacząłem regulować tarcze i przełączniki. Jestem pewien, że najbardziej zagadkowy wypadek, z jakim miał do czynienia Wydział Osób Zaginionych w San Francisco, nigdy nie zostanie wyjaśniony. Jedynie dwie osoby — inspektor Ihren i ja — znają odpowiedź, ale żaden z nas nie puści pary z ust. Przez jakiś czas istniał ślad, na który ktoś mógł natrafić, ale ja go odkryłem pierwszy. Znajdował się w dziale rzadkich fotografii w bibliotece publicznej w San Francisco. Mają tam setki starych zdjęć i przeglądając je znalazłem to, o które mi chodziło. Ukradłem je — jedno przestępstwo więcej nie robiło już żadnej różnicy.

Często wyjmuję to zdjęcie z portfela, żeby sobie na nie popatrzeć. Przedstawia ono rząd policjantów, stojących przed komendą policji w San Francisco, i przypomina mi stare kome-die filmowe, ponieważ policjanci są w wysokich filcowych kaskach opuszczonych nisko na oczy i w długich do kolan kurtkach. Prawie wszyscy mają sumiaste wąsy i trzymają pałki na ramieniu, jakby byli gotowi do zadania ciosu. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak aktorzy z burleski, ale kiedy się przyjrzeć ich twarzom, to zmienia się zdanie. Przyjrzyjcie się szczegó-lnie twarzy tego, który stoi z prawej strony, tego z naszymi sierżanta. Wygląda jakby był stale wściekły i wpatruje się (a może tak mi się tylko wydaje) prosto we mnie. Jest to ponad wszelką wątpliwość nieprzejednane oblicze Martina O. Ihrena, którego wysłałem za pomocą małej czarnej skrzynki w rok 1893, w czasy, które są dla niego bardziej odpowiednie od naszych.

Przełożył *Lech Jęczmyk*